MISCELLANEA PASTORALNE

MISCELLANEA PASTORALNE

NAPISAŁ

KS. DR. ADAM GERSTMANN

NADZW. PROFESOR UNIWERSYTETU LWOWSK.

TOM I.

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

1910

L. 1039.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Z Ordynaryatu Metropolitalnego o. łać.

we Lwowie dnia 1-go lutego 1910.

† *Józef, Arcybiskup.*

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

WSTĘP.

Książka, którą oddajemy do rąk czytelników, jest zbiorem kilku luźnych artykułów, omawiających różne zagadnienia z dziedziny teologii pasterskiej, na razie wyłącznie homiletyki. Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że nie zawierają one zupełnie nowych myśli, ani nie wskazują nowych nieznanych dróg: w duszpasterstwie, a szczególniej w wymowie kościelnej niełatwo wskazać na myśli lub drogi zupełnie nowe, a nie zejść na fałszywe tory. Starałem się jednak te myśli, które znalazłem u różnych autorów dostosować do naszych potrzeb i uzupełnić własnemi spostrzeżeniami. Wybierałem zagadnienia takie, które zdawały mi się być pożytecznemi szczególnie dla młodszych, początkujących braci kapłanów. Unikałem o ile możności cytowania autorów i naukowego balastu, gdyż chciałem dać do rąk kapłanom dziełko ściśle pastoralne, praktyczne, ale starałem się z drugiej strony luźne uwagi oprzeć na naukowych podstawach i doprowadzić do pewnych konkluzyi.

Gdyby ten tomik znalazł życzliwych czytelników, pragnąłbym wydać w najbliższej przyszłości następny, a może da Bóg i następne. Wobec tego, iż nie mamy obecnie polskiej teologii pastoralnej, któraby odpowiadała choć w części wszelkim wymaganiom, mamy nadzieję, iż luźne artykuły z tej dziedziny nie będą bez pożytku.

I.

JEDEN Z NAJZGUBNIEJSZYCH BŁĘDÓW W GŁOSZENIU SŁOWA BOŻEGO.

»Veritas liberabit vos« *(Johannes VIII. 32).*

Zbawiciel nasz zeznał sam przed sądem Piłata, że celem jego przyjścia na świat, celem nauki jego było złożenie świadectwa prawdzie. »*Ego in hoc natus sum et ad hoc veni in mundum, ut testimonium perhibeam veritati*«. »Jam się na to narodził i na tom przyszedł na świat, bym świadectwo dał prawdzie« (Joh. 18. 37). Nauka jego była prawdą, prawdą nieomylną i dlatego przyniosła światu zbawienie; »*veritas liberabit vos*«, prawda was wyswobodzi«. Prawdę tę głosił sam przez trzy lata po całej ziemi żydowskiej, a gdy nadszedł czas, w którym miał odejść do Ojca, zostawił swą naukę tym, których wybrał na swych zastępców na ziemi, apostołom: »*Euntes, docete omnes gentes*«, »idąc, nauczajcie wszystkie narody«. Tę prawdę głosili apostołowie, tę samą prawdę głosili ich następcy, tę prawdę, to »*depositum fidei*« przechowuje Kościół, tę prawdę mamy i my ogłaszać wiernym naszym;

mamy w kazaniach i katechizacyach, na ambonie i w szkole być nauczycielami tej boskiej i zbawiennej nauki. Otrzymując od Kościoła prawo i misyę głoszenia Słowa Bożego, przyjmujemy obowiązek głoszenia prawdy i tylko prawdy, a prawdy objawionej; każdy, ktokolwiek do tej prawdy wtrąca jakikolwiek fałsz, staje się niewiernym swemu powołaniu — bo podaje swym owieczkom nie zdrowy pokarm nauki objawionej, ale mniej lub więcej szkodliwą truciznę. Nie mamy zamiaru mówić o tych, którzy świadomie każą prawdziwą naukę błędami czy herezyami, lecz chcemy pomówić o pewnym rodzaju fałszowania słowa Bożego, bardzo niestety częstym, tolerowanym, który wyrobił sobie niejako prawo obywatelstwa w kaznodziejstwie, a który jest jednak błędem i to błędem bardzo zgubnym, chcemy mianowicie pomówić o przesadzie w głoszeniu słowa Bożego. Nie mamy tu na myśli przesady i niewłaściwości w zewnętrznej formie kazań, w stylu, wysłowieniu, gestykulacyi (o czem wspomnimy w innym rozdziale), lecz przesadne lub nieprawdziwe przedstawienie samej prawdy, którą ludowi głosimy, a które może się objawiać tak w tezach, obranych za temat kazania, jak i w dowodach, przykładach i t. d.

Przedewszystkiem skonstatujemy i okażemy na przykładach, iż wypadki przesadnego i nieprawdziwego przedstawiania prawd wiary nie są wcale rzadkością u kaznodziei, dalej postaramy się wykazać, jak szkodliwym jest ten błąd, a w końcu wskażemy na kilka sposobów, które mogą nam dopomódz do uniknienia tego zgubnego błędu.

1. Przesadne przedstawianie, a nawet przekrę-

canie prawdy nie jest rzeczą rzadką lub niesłychaną w kaznodziejstwie. W wymowie świeckiej przesadne przedstawienie prawdy, o którą chodzi, podnoszenie kwestyi drobnych lub podrzędnych do rzędu ważnych i pierwszorzędnych, stało się modą i zwyczajem, w niektórych zaś jej rodzajach, jak w parlamentarnej, adwokackiej i t. d. prawie regułą i prawidłem. Nic dziwnego, że wobec takiego faktu definiuje Kant wraz z innymi retorykę jako sztukę łudzenia i mamienia ludzi przez gładkie słowa. Że ten zwyczaj zakorzenił się i w wymowie kościelnej, niech nam starczy jedno świadectwo męża tej miary, co św. Alfons. Pisze on w swojej teologii moralnej, omawiając kwestyę: »*de ornatu superfluo mulierum*«: »*Cum ego munus concionatoris gessi, pluries etiam hunc perniciosum usum (scil. ostendendi nuda ubera ad ornatum) fortiter conatus sum exprobrare; sed cum hic officium agam scriptoris de scientia morali, opportet, ut dicam, quod iuxta veritatem sentio et quod a Doctoribus didici*«. »Gdy występowałem jako kaznodzieja, starałem się nieraz ten ohydny zwyczaj bardzo ostro napiętnować, lecz gdy obecnie występuję, jako autor teologii moralnej, należy przedstawić, co o nim sądzę na prawdę i czego się w tej mierze nauczyłem od uczonych autorów« (S. Alph. Theol. moral. l. III. tr. III. c. I. n. 55). A więc sam Święty przyznaje, że i jemu przydarzyło się, że gdy mówił coś jako kaznodzieja, nie zupełnie odpowiedział temu, *quod iuxta veritatem sentio,* t. j. że po prostu przesadził. Jeżeli w ten błąd popadł kaznodzieja tej nauki, świętości i prawości, co św. Alfons, to nie zdziwi się nikt, że ten błąd jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych w całym szeregu lepszych i gor-

szych kazań. Czyż nie mówi nam tego zresztą własne doświadczenie. Czyż nie musimy sobie powiedzieć po wysłuchaniu niejednego, nawet skądinąd dobrego kazania: »Niejedno w tem kazaniu było powiedziane raczej »*contionatorio modo*« niż »*secundum veritatem?*« Czyż nie utarło się między świeckimi zdanie: »No, to powiedział ten a ten kapłan, ale to tak w kazaniu! tak, jak mówią Niemcy: »*in der Hitze des Gefechtes?*«

Nie wdając się więc w dowody teoretyczne, że ten błąd jest możliwym, na co chyba każdy się zgodzi, wskażemy kilka przykładów, kilka rodzajów kazań, w których przesadne, a nawet nieprawdziwe przedstawienie prawd wiary stało się prawie modą, prawidłem.

Kazania panegiryczne, pochwalne na cześć Świętych zdają się już mieć pewien przywilej przesady i mijania się z prawdą. Leibnitz powołuje się jak na przysłowie na ten fakt, że »święty, którego uroczystość właśnie obchodzimy, musi być (oczywiście w kazaniu) największym ze wszystkich świętych«. Kaznodzieja, chcąc wywyższyć swego Świętego w oczach wiernych, używa nie tylko wszelkich superlatywów na określenie jego wielkości, ale nawet porównań z innymi świętymi na stanowczą ich niekorzyść. Każdy Święty jest u niego najgorliwszym, najpokorniejszym, najpotężniejszym w niebie rzecznikiem i t. d. Metoda ta wzbudzania czci przez przesadne chwalenie jednego kosztem drugich jest bardzo błędną. Wskazówkę, że nie powinniśmy robić takich porównań jednych świętych z drugimi, co do stopnia ich świętości i klasyfikowania co do stopnia chwały w niebie, daje nam Kościół. Jednej Matce Najświętszej przyznał »*cul-*

tum hyperduliae«, a tem samem najpierwsze miejsce między świętymi — co do innych świętych unika w liturgii starannie wszelkich porównań jednych z drugimi i stawiania jednych przed drugimi. Jest rzeczą naturalną, a nawet konieczną, że w kazaniu panegirycznem staramy się świętego, o którym do ludu mówimy, przedstawić z najlepszej strony, ale czyż do tego potrzeba przesady? Możemy podnieść niektóre jego cnoty, te, któremi szczególniej zajaśniał, a nawet co do tychże cnót, a więc »*secundum quid*«, stawić go jako jednego z największych świętych; może o niektórych wprost powiedzieć, że należą do liczby największych świętych, że mało znajdują równych lub wyższych; to wszystko można — ale kanonizować kogoś na największego świętego jest nietaktem, przesadą, często wprost nieprawdą. Nikt nie może nazwać tego przesadą, gdy nazwę św. Jana, Józefa lub Pawła jednym z największych świętych, gdy powiem, iż mało kto lub prawie nikt nie przewyższył w czystości św. Stanisława, w gorliwości św. Pawła, w umartwieniu św. Piotra z Alcantary, ale nie ośmieliłbym się nigdy nazwać któregokolwiek ze świętych absolutnie największym lub podnosić go na niekorzyść innych.

Bardzo często spotykamy się z przesadą, gdy kaznodzieja chce dosadnie odmalować piękność i godność cnoty, lub ohydę i okropność grzechu, o którym właśnie mówi.

Są kaznodzieje, u których każda cnota jest najszczytniejszą, najdoskonalszą, najpotrzebniejszą, każdy grzech najwstrętniejszym, najokropniejszym sam w sobie i w skutkach swoich. Przecież w tem jest stanowcza przesada. Każda cnota jest piękną,

wzniosłą i potrzebną, każdy grzech, szczególnie zaś grzech ciężki okropnym i wstrętnym, ale moralna podaję nam przecież pewną miarę, podług której mamy wielkość cnót i grzechów taksować; przecież są cnoty także podrzędniejszego znaczenia, są »*peccata ex toto genere levia*«, grzechy z natury swej lekkie, a o tem zapomina się często na ambonie. Jak często n. p. można się spotkać nawet u pierwszorzędnych kaznodziei z takiemi zdaniami: »niegodna komunia św. jest grzechem gorszym niż grzech Judasza zdrajcy i żydów krzyżujących Pana Jezusa, gdyż popełniony przeciw tej samej najświętszej osobie a w znacznie bardziej obciążających warunkach«, ba nawet »komunia św. niegodnie przyjęta jest najcięższym z grzechów«. A jednak inaczej o tem sądzi nauka teologii. Św. Tomasz na pytanie: »*Utrum accedere cum conscientia peccati sit gravissimum omnium peccatorum*«, »czy jest najcięższym ze wszystkich grzechów przystąpić do komunii świętej świadomie w grzechu śmiertelnym« odpowiada wprost: »*non est omnium gravissimum*« — »nie jest to grzech najcięższy«. Cięższymi bowiem są grzechy popełniane wprost przeciw Bogu, jak nienawiść Boga i niedowiarstwo, tudzież te, które popełniano przeciw osobie Chrystusa »*in specie propria*«, jak n. p. grzech Judasza lub Żydów; dalej grzechy zniewagi rozmyślnej Przen. Sakramentu, n. p. wrzucenie go do kloaki. W tych grzechach bowiem jest intencya znieważenia osoby Chrystusa, której niema zwykle przy świętokradzkiej komunii św. (S. Theol. III. qu. 80. art. 5).

Wiele przesady popełniają kaznodzieje również w polecaniu pewnych środków prowadzących

do zbawienia rzekomo nieomylnie. Kto odprawia takie a takie nabożeństwo, kto odmawia taką a taką modlitwę, kto używa tego a tego sposobu — ten najpewniejszą drogą kroczy do zbawienia; kto tego zaniedbuje, po tym niewiele można się spodziewać. Znowu przesada! Wiemy przecież, że człowiek nawet nie może być pewnym, czy jest obecnie w stanie łaski, tem mniej może sobie zapewnić absolutnie jakimkolwiek środkiem zbawienie. Predestynacya nasza zostanie nam zawsze tajemnicą — a niezmiennym jest wyrok: »*Cum metu et tremore salutem vestram operamini*«, »z bojaźnią i drżeniem sprawujcie wasze zbawienie« (Phil. II. 12.). Nieprawdą jest również, że którykolwiek ze środków polecanych jest tak zbawiennym, iżby go opuścić nie można, lub iżby źle sądzić trzeba o tym, kto go zaniedbuje. Jeżeli nawet niektóre sakramenta św., n. p. ostatnie pomazanie i (prawdopodobnie) bierzmowanie (nie mówiąc naturalnie o kapłaństwie i małżeństwie) nie są *necessitate medii* ani nawet *praecepti* konieczne do zbawienia, to nie można polecać praktyk religijnych choćby najzbawienniejszych, jak n. p. różaniec, szkaplerz, adoracya, rachunek sumienia, rozmyślanie, częsta komunia św., w sposób taki, żeby je podnosić do »*conditio sine qua non*« zbawienia. *Ne quid nimis!*

Obszerne pole do przesadnych lub nieuzasadnionych i fałszywych poglądów dają kazania na tematy, na które nam objawienie nie daje pewnej odpowiedzi. Tematy takie, jak: czy mniejsza liczba będzie potępionych, czy też zbawionych; dlaczego Bóg niektórym odmawia »*gratiam efficacem*« (»łaski skutecznej«), o tej chwili, w której Bóg przestaje już udzielać łaski zatwardziałemu grzeszni-

kowi i t. d., nie nadają się z natury rzeczy na ambonę i zmuszają niejako mówcę do wywodów fałszywych, nieuzasadnionych, przesadnych. Nie tykajmy takich tematów: nauka wiary i obyczajów, hagiografia i liturgia Kościoła tyle dostarczają tematów wdzięcznych, ważnych i praktycznych, że nie potrzeba dla jakiejś fałszywej oryginalności czy chęci popisu sięgać po tak niepewny, nieuchwytny i co najmniej niepraktyczny materyał.

2. Przejdźmy teraz do z g u b n y c h s k u t k ó w, jakie wywiera wszelka przesada i nieprawda w głoszeniu słowa Bożego. Jest ona przedewszystkiem zupełnie niepotrzebna. Mowca świecki n. p. adwokat, który musi bronić nieraz sprawy niepewnej i niejasnej, który musi zainteresować swoje audytoryum sprawą bardzo błahą i podrzędną, zmuszony prawie jest uciekać się do przesady, do wmawiania w swych słuchaczy poglądów i uczuć nie zawsze z prawdą licujących; musi on nie tylko niejedno w niepewnem przedstawiać świetle, ale nieraz wprost z czarnego zrobić białe, by swój cel osiągnąć. Nie jest to zapewne dobrem i nie licuje z prawdomownością, zasługuje jednak stokroć łatwiej na przebaczenie, niż podobne nadużycie słowa Bożego. O ile szczęśliwszym jest pod tym względem kaznodzieja: on głosi prawdę objawioną, a więc nieomylną; on przemawia o rzeczach najszczytniejszych, najwznioślejszych — a zarazem o rzeczach dla swych słuchaczy najważniejszych i najpraktyczniejszych. Czyż nasza sprawa, która przecież jest sprawą Chrystusa, nie jest sama w sobie dość wielka, dość wzniosła? Czyż ona potrzebuje szukać »pomocy« w przesadzie, w dodatkach ze strony kaznodziei? Pocóż mamy do niej doda-

wać ludzkie wymysły, poco poprawiać i uzupełniać objawienie? »*Quid paleis ad triticum, dicit Dominus. Numquid non verba mea sunt quasi ignis, dicit Dominus, et quasi malleus conterens petram?*« »Co plewom do pszenicy, mówi Pan? Izali słowa moje nie są jako ogień, mówi Pan? A jako młot, kruszący skałę?« (Jez. XXIII. 28. 29.).

Gdy chcemy n. p. głosić chwałę jakiegoś świętego, czyż mało mamy materyału w jego życiu i cnotach, że uciekamy się do hyperbol, lub niesmacznych i wątpliwej wartości porównań? Jeżeli znów chcemy wynosić jakąś cnotę lub potępiać jaki grzech, to mamy przecie tyle zupełnie prawdziwych i pewnych motywów ku temu, że obejdziemy się snadnie bez wszelkiej przesady. Przecież niekoniecznem jest wykazać, że ta cnota jest najwyższą, najważniejszą, bo jest nią tylko królowa cnót, miłość; lecz wystarczy udowodnić gruntownie i jasno, że jest ona bardzo piękną i bardzo ważną, a to przecież o każdej cnocie bez przesady powiedzieć można. Te same uwagi stosują się i do przedstawiania grzechów i ich skutków. Czyż grzech każdy mało ma w swej istocie i swych skutkach szkarady i okropności, żeby w ich opisie aż trzeba przesadzać? Zaprawdę słowo Boże samo w sobie dość ma siły i mocy przekonywającej i nie potrzebuje tak marnej pomocy, jak przesadne i nieprawdziwe dodatki z naszej strony.

Co więcej, słowo Boże nie znosi takich dodatków. Dajmy na to, że w pewnych wypadkach mogłoby przesadne, a nawet nieprawdziwe przedstawienie prawdy objawionej sprawić pewien dobry skutek, że mogłoby wywołać nie tylko chwilowe łzy i wzruszenie w słuchaczach (na co zbyt wiel-

kiej wagi chyba żaden rozumny kaznodzieja kłaść nie będzie), ale nawet pewne trwalsze skutki: dajmy na to, że to wszystko jest możliwem, to mimo tego nie godzi się kaznodziei tych środków używać. Dlaczego? Bo używać ich niewolno nikomu. »*Non sunt facienda mala, ut eveniant bona*«, »nie należy czynić źle w tym celu, by z tego wynikło coś dobrego«, cel nie uświęca środków z natury swej złych, a złem z natury jest kłamstwo, fałsz, przesada. Nie wolno używać tego środka *a fortiori* kaznodziei: gdy głosi on swe kazanie na ambonie, gdy uczy jako katecheta w szkole, nie występuje on jako człowiek prywatny, nie głosi on swoich poglądów, swoich zapatrywań, swej nauki, nie mówi od siebie, w swojem imieniu. Występuje on wówczas jako posłannik boży, jako sługa Chrystusa, głosi objektywną prawdę, prawdę objawioną przez Chrystusa, przez Kościół głoszoną. Prawdę tę powierza mu Chrystus przez Kościół, by z niej jako z czystego źródła czerpał i rozdawał wiernym. Kapłan głoszący słowo Boże powinien wciąż o tem pamiętać, że ma być wiernym tłumaczem i świadkiem prawdy Chrystusowej, a niczem więcej; powinien powiedzieć o swej nauce podobnie jak Chrystus mówi o swojej: »*Et sermonem, quem audistis, non est meus, sed eius, qui misit me, Patris*«, »a mowa, którąście słyszeli, nie jest moja, ale tego, który mię posłał, Ojca« (Joh. XIV. 24.). Jeżeli tak zapatruje się na swoje posłannictwo, łatwo odrzuci pokusę posługiwania się jakiemkolwiek wykręcaniem lub przeinaczaniem czy ubieraniem czystej prawdy ewangelii.

Ten powód zasadniczy, ta niemożliwość pogodzenia słowa Bożego z wszelką przesadą, z wszel-

kim fałszem, powinien sam przez się uchronić kaznodzieję od pokusy, używania w swych kazaniach wszystkiego, co nie jest zupełnie zgodnem z nauką wiary, z katolicką teologią. Ale jest jeszcze jeden powód, powód natury więcej praktycznej, ale powód, który powinien nas bardzo stanowczo od wszelkiej przesady w głoszeniu słowa Bożego odstraszyć. Przyznaliśmy, że czasem, w wyjątkowych wypadkach, exageracya ze strony kaznodziei może pewną korzyść przynieść, może wywrzeć pewien dobry wpływ na słuchaczy; częściej przeminie przesada, zwłaszcza niezbyt jaskrawa bez widocznych złych skutków — ale najczęściej wywrze ona zgubne i bardzo zgubne skutki na słuchaczach: często doprowadzi do rezultatów wprost przeciwnych zamiarom kaznodziei. Złe skutki wszelkiej przesady i fałszu w głoszeniu słowa Bożego podzieliłbym na dwie kategorye. Jeżeli słuchacze posiadają wiele wiary i szacunku dla słowa Bożego, głoszonego im z kazalnicy, jeżeli kapłan ma zaufanie i wiarę u swych owieczek, jeżeli jego hyperbole lub twierdzenia błędne nie są zbyt przesadne i rażące; wtedy uwierzy audytoryum temu, co kapłan głosi, przyjmie więc i plewę, którą ośmielił się domieszać do ziarna słowa Bożego, jako nasienie dobre i prawdziwe. Ale czyż z tego jest jaka korzyść? Bynajmniej, owszem wiele szkody. Wierni, zamiast pouczyć się dokładniej o prawdach wiary, wykrzywią sobie pojęcia religijne, nauczą się niejednej nieprawdy i to tam właśnie, gdzie mieli usłyszeć prawdę Chrystusową. Przesadne przedstawienie niektórych grzechów lub obowiązków chrześcijańskich, podnoszenie niektórych rad do godności obowiązków,

przedstawianie grzechów powszednich jako śmiertelnych — może bardzo łatwo obudzić w wiernych »*conscientiam erroneam*«, fałszywe sumienie, z którego powstanie wiele formalnych grzechów tam, gdzie ich *de facto* niema. Zbyt rygorystyczne i przesadne poglądy obudzą mnóstwo skrupułów i niepokojów; zbyt przesadne zachwalanie pewnych nabożeństw i praktyk religijnych może stać się źródłem lub podnietą zabobonów, może utworzyć w niektórych wiernych przekonanie, jakoby właśnie w tych praktykach religijnych mieściła się cała pobożność. Wogóle karmienie ludu wiernego tak niezdrową strawą, jak jest każda przesada i każdy fałsz, zamiast zdrowego pokarmu zbawczej nauki Chrystusa musi wywrzeć prędzej czy później wpływ fatalny na duchowe zdrowie tegoż ludu.

Jeszcze gorszym staje się wpływ przesady i fałszu w głoszeniu słowa Bożego tam, gdzie audytoryum posiada więcej wykształcenia a mniej gorącej wiary; tam gdzie słów kapłana nie przyjmuje już z bezwzględną wiarą, lecz pozwala sobie na krytykowanie nauk, głoszonych przez niego. Audytoryum takie znajdziemy dziś nie tylko w wielkich miastach, ale i po wsiach. Tam, gdzie niedawno jeszcze uważano każde słowo kapłana jako święte, tam dziś już także nauczono się krytyki i porównywania. Wpływ szkoły, gazet, agitacyi politycznych, często antireligijnych sięga dziś do najodleglejszych zakątków kraju, do najniższych warstw społeczeństwa — i nigdzie nie może dziś kapłan ufać, że suknia kapłańska uchroni jego życie lub jego słowa od krytyki. Jeżeli więc kapłan wobec audytoryum więcej wykształconego, a nie uznają-

cego bezwarunkowo jego powagi, pozwoli sobie na przesadne i nieuzasadnione twierdzenia, szczególniej, gdy posunie się do grubszej i jaskrawszej hyperboli, jakiż to wywrze wpływ na słuchaczach? Otóż nie uwierzą mu, tak jest: poprostu nie uwierzą słowom jego. Z początku ograniczą się do odrzucenia tylko tego, co jest błędem i przesadą w słowach kaznodziei — a zechcą korzystać z prawdy, którą im głosi. Ale nawet tego rodzaju krytyka, która ośmiela się przyjmować tylko niektóre zdania, głoszone przez kaznodzieję za prawdę, jest szkodliwa. Gdy raz zaczną wierni odróżniać w kazaniu prawdę od fałszu, gdy zaczną jedno przyjmować, a drugie odrzucać, tracą już ową cześć, która należy się słowu głoszonemu z ambony, tracą ową bezwzględną ufność do tego, który w głoszeniu słowa Bożego plewę razem z ziarnem im podaje. Takie podkopanie powagi słowa, głoszonego z ambony przynosi nieobliczalne straty. Dla jednych jest ono powodem, a przynajmniej wygodną wymówką nieuczęszczania na kazania. Inni znajdują w niem wymówkę wobec sumienia do zaniedbywania nawet istotnych obowiązków, do lekceważenia nawet ciężkich grzechów. Jeżeli odkryją raz lub drugi przesadę w słowach kaznodziei, jeżeli przekonają się, że nie wszystko, co kapłan głosi, jest naprawdę tak ważnem i doniosłem, jak to się stara wiernym przedstawić, to uznają wnet za przesadę i nieprawdę wszystko, co jest przeciwne ich namiętnościom i nawyczkom; odrzucą jako niepotrzebne to, co im jest niewygodne. A ilu wiernych przyjdzie przez tę pogardę kazania do osłabienia i kto wie, czy nawet nie do zupełnej utraty wiary! Dla wielu ludzi jest prze-

cież kazanie jedynem źródłem nauki wiary i obyczajów, dla wielu jest powaga kapłana nauczającego tej prawdy najważniejszem, może jedynem »*motivum credibilitatis*« »motywem wiarogodności«. Jeżeli to jedyne źródło zostanie zamąconem, jeżeli ta jedyna powaga zachwieje się, na czem oprze się jego wiara? Gdzie będzie jej prawd szukać, jeżeli do licznych głosów, które go zewsząd dochodzą: »Nie słuchaj tego, co księża mówią; nie wszystko, co oni głoszą, zgadza się z prawdą«, jeżeli do tych głosów dołączy się własne jego przekonanie i doświadczenie, że w istocie nie można bezwzględnie ufać słowom swego pasterza, czyż ostoi się wówczas u niego wiara, czy nie osłabi się przynajmniej? Czyż nie osłabi się prócz tego zaufanie wiernych do kapłana, do tego, w którym powinni widzieć zawsze, a szczególniej w wykonywaniu swej misyi nauczycielskiej zastępcę i posłannika Chrystusa? Kto zliczy, ilu wierzących zachwiało się w wierze w piekło i kary piekielne przez drastyczne, niesmaczne i zgoła nieprawdziwe opisy mąk piekielnych, jakie głosili, a nawet i dziś głoszą niektórzy kaznodzieje, lub o jakich czytamy w różnych »nabożnych« książkach? O tak, wielką i bardzo wielką szkodę czynią wiernym ci, którzy zamiast czystej nauki Zbawiciela cokolwiek innego z ambony głoszą, wielką szkodę wiernym, wielką ujmę sobie, wielką krzywdę słowu Bożemu, wierze i moralności chrześcijańskiej. Nie zapominajmy wkońcu, że cały rezultat naszej pracy na ambonie zależy w pierwszym rzędzie nie od nas, nie od słów naszych, lecz od błogosławieństwa Bożego: »*Neque qui plantat est aliquid, neque qui rigat, sed qui incrementum dat — Deus*«. »Ani

który szczepi jest czym, ani który podlewa; ale Bóg, który pomnożenie dawa«. (I Cor. III. 7). Bóg zaś pomaga i błogosławi słowom naszym, gdy głosimy prawdę Jego, odmówi zaś nam swej pomocy, gdy od niej odstąpimy. Gdy wojujemy fałszem i przesadą, pracujemy bez błogosławieństwa Bożego, a pamiętajmy, że: »*nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam*«. »Jeźli Pan nie buduje domu, próżno pracowali, którzy go budują« (Ps. 126. 1).

Dość więc chyba powodów, które powinny nas skłonić do unikania wszelkiej przesady, wszelkiej nieprawdy w głoszeniu ewangelii: szacunek dla słowa Bożego, szacunek dla prawdy, szacunek dla własnej misyi naszej, wzgląd na dobro powierzonego nam ludu, wzgląd na potrzebne błogosławieństwo Boże niech nas strzeże od tego zgubnego — a bardzo powszechnego niestety błędu.

3. Wkońcu kilka uwag o sposobach, które nas od tego błędu uchronić mogą. Najważniejszym może z nich jest: staranne przygotowanie się do kazania. Gdy wstępujemy na ambonę bez poprzedniego dokładnego zastanowienia się nad prawdą, którą mamy głosić, i nad sposobem, w jaki ją mamy przedstawić, gdy nie ułożymy sobie z góry sposobu dowodzenia, gdy nie dobierzemy starannie cytatów i przykładów, których mamy w kazaniu użyć, narażamy się na widoczne niebezpieczeństwo zagalopowania się i przesady w kazaniu. To przygotowanie nie może być zawsze zbyt dokładnem; nie każdemu pasterzowi pozwoli na to czas, nie każdy wreszcie przedmiot kazania wymaga równie gruntownego przygotowania, ale to jest pewnem, że kto chce słowo Boże

głosić zupełnie bez przygotowania, ten naraża się prócz innych błędów na rozminięcie się z prawdą. Jeżeli czasem wypadnie wstąpić na ambonę bez przygotowania, lub z przygotowaniem niedostatecznem, to trzeba być w kazaniu jeszcze ostrożniejszym, by przeciw prawdzie nie wykroczyć. Wybierać trzeba wówczas tematy ile możności łatwiejsze i kaznodziei dokładniej znane, starać się o jak największą prostotę w przedstawieniu tych tematów. Lepiej niech będzie kazanie mniej barwnem i pociągającem, niżby miało być przesadnem i mijać się z prawdą. Przy przygotowaniu do kazania powinien kaznodzieja przedewszystkiem na to zważać, by sam wyrobił sobie teologicznie pewne i jasne pojęcie prawdy, którą ma głosić. Niech zapyta się katechizmu, niech zaglądnie do swej dogmatyki i moralnej, by sam wprzód miał jasno i pewnie przed oczyma prawdę, którą ma bez domieszki fałszu i błędu wiernym ogłaszać. Nie jest to bynajmniej zbytecznem: jest wiele prawd wiary trudnych i zawiłych, prawd, których jasne sformułowanie wcale nie łatwą jest sprawą. Przy pracy codziennej mało mamy czasu na systematyczne studyum dogmatyki i moralnej, nic dziwnego więc, że pojęcia niektórych prawd wiary i przepisów moralności bledną z czasem, a nawet paczą się i krzywią; czytanie zaś gotowych kazań i wielu dzieł pseudo-ascetycznych przyczynia się raczej do zaciemnienia i wykrzywienia, niż do prostowania i rozjaśnienia tych pojęć. Takie przypomnienie sobie prawd dogmatyki i moralnej przygodne, przy okazyi, przyda się pewnie samemu kapłanowi, a uchroni go od niepewności i chwiejności w kazaniu, nada jego słowu pewny i silny podkład. Potrzebne jest to

przygotowanie szczególniej, gdy mamy głosić prawdy rzadko na ambonie poruszane, lub gdy mamy mówić o prawdach zawilszych. Rozumie się samo przez się, że nie możemy w tem przygotowaniu opierać się na powadze tej lub owej szkoły teologicznej, ani porywać się na tematy, które są przedmiotem kontrowersyi teologicznych; takie tematy z natury rzeczy nie mają miejsca w kazaniu. Opierajmy się na prawdach wiary zdefiniowanych przez Kościół lub przynajmniej powszechnie przez teologów przyjętych, na zdrowych zasadach teologii moralnej.

Drugim sposobem uniknienia przesady, niepewnych i nieuzasadnionych twierdzeń w kazaniu jest ostrożność i krytycyzm w używaniu źródeł, z których czerpiemy materyał do kazania. W kazaniach drukowanych, w różnych szkicach i podręcznikach znajdujemy ogromnie wiele myśli, wyrażeń, obrazów, porównań, przykładów niepewnych i nieuzasadnionych, a nawet dogmatycznie niedokładnych i fałszywych. Nie wystarczy nam znaleść jakieś twierdzenie czy argument, przykład czy cytat u jednego autora, w jednym podręczniku, aby go bez obawy używać w głoszeniu słowa Bożego. Żaden podręcznik nieomylnym nie jest, a aprobata książki duchownej przez władzę kościelną stwierdza wprawdzie, że niema w nich rzeczy jawnie z nauką objawioną sprzecznych lub zbyt szkodliwych, ale nie wyklucza z nich wielu błędów i fałszów, które nie są może wprost przeciwne wierze i obyczajom, »*contra fidem et bonos mores*«, których jednak w głoszeniu słowa Bożego unikać koniecznie należy. Cenzura zaś kościelna jest, przynajmniej w niektorych miejscach, niesłychanie pobłażliwą dla tego rodzaju elukubracyi. Uwagi te

stosują się *a fortiori* do dzieł i dziełek ascetycznych. Niestety, niewiele jest dzieł tej treści, którymby można bezpiecznie zaufać: pewna tendencya do przesady i rygoryzmu (szczególnie we francuskiej literaturze ascetycznej, może pod wpływem janzenizmu), dążenie do nadzwyczajności i cudowności, zbyt lekkomyślne poleganie na legendach i objawieniach prywatnych, brak krytycyzmu historycznego cechują ogromną większość tych dziełek, mnożących się bez miary z małym pożytkiem, a większą częstokroć szkodą dla ich czytelników. Wogóle należałoby używać legend i objawień prywatnych z wielką dyskrecyą i ostrożnością: legendy mają w sobie wiele uroku dla umysłów wierzących, wywierają wpływ na uczucie i wyobraźnię, upiększają i dodają życia kazaniu: jednakże powtarzam, że trzeba ich używać w głoszeniu słowa Bożego ostrożnie i rozważnie. Przedewszystkiem trzeba unikać legend i objawień niepewnych, opowiadań niepopartych inną powagą jak jednego lub drugiego autora, u którego się je znalazło. Opowiadanie takich legend, cytowanie takich faktów — będzie to wplatanie w naukę prawdy objawionej faktów niepewnych, niestwierdzonych, a często nieprawdziwych, a nawet nieprawdopodobnych. Zamiłowaniem takich cudownych legend i objawień odznaczają się szczególniej dzieła ascetyczne i kaznodziejskie dawniejsze. W czasach gorętszej wiary mniej one raziły i szkodziły; dziś może kaznodzieja szafujący zbyt obficie cudami, objawieniami i legendami narazić siebie, a co gorsza i słowo Boże, które głosi, na szyderstwo. Jeżeli używamy w kazaniu legend, to wybierajmy te, które są stwierdzone powagą Kościoła (n. p. przy kanonizacyi świętych) lub histo-

rycznemi badaniami; takie legendy pewnie nie przyniosą ujmy słowu Bożemu. Jeszcze staranniej trzeba unikać używania zdarzeń legendowych lub objawień prywatnych, jako jedynych lub głównych dowodów w głoszeniu słowa Bożego: prawdy, które głosimy ludowi, żądania, które wobec niego stawiamy, powinny się opierać na niewzruszonej prawdzie słowa Bożego, nauki Kościoła — a nie na legendach i widzeniach. Dobrze jest też zaznaczyć nieraz wyraźnie, gdy się przedstawia jakąś legendę w rzeczy samej przez Kościół zatwierdzoną, że to jest podanie lub fakt, który Kościół swą powagą zatwierdził, by w ten sposób zapewnić jej to znaczenie, jakie istotnie posiada.

Nawet w używaniu zdań i cytatów z Ojców Kościoła powinniśmy zachować pewną ostrożność. Przedewszystkiem nie cytujmy pism niepewnych lub za apokryfy uznanych (np. dzieła św. Dyonizego Areopagity) jako pewnych. Zachowajmy pewną ostrożność w cytowaniu krótkich, urywanych zdań, które znaleźliśmy nie w dziele samego Ojca, lecz w jakimś autorze ascetycznym lub w kazaniu. Te zdania wyrwane »*ex contextu*« mają nieraz wprost inne znaczenie, niż u ich autora. Pamiętajmy wkońcu, że zdania poszczególnych Ojców Kościoła nie dają także absolutnej pewności, że są wolne od pewnej przesady. Pisane w innych czasach, w innych okolicznościach, zastosowane do pewnego audytoryum, w pewnym określonym celu mogły być bardzo prawdziwemi, ale mogą być niezbyt trafnemi, a nawet fałszywemi dla naszych czasów, naszych potrzeb, naszych stosunków. Niemałej wkońcu ostrożności potrzeba i w cytowaniu Pisma świętego. Niema oczywiście obawy, byśmy w Piśmie św. zna-

leźli coś niedokładnego, niepewnego, nieprawdziwego; pisane z natchnienia Ducha św. nie zawiera ono żadnego fałszu, żadnej przesady. Mimo to grozi wiele niebezpieczeństw dla prawdy ze strony nieumiejętnego i fałszywego cytowania lub tłumaczenia tegoż Pisma świętego. Wiadomo, że wszyscy prawie heretycy »cytowali« Pismo św. na poparcie błędów; »cytują« je też kaznodzieje bez miłosierdzia na poparcie zdań nieraz nieuzasadnionych lub nieprawdziwych. Unikać trzeba przedewszystkiem cytatów niedokładnych lub »uzupełnionych» (n. p. sławne »*sola fides iustificat*« (»s a m a wiara zbawia«) Lutra lub »*septies in die cadet iustus*« (»siedmkroć upadnie n a d z i e ń sprawiedliwy«) niektórych autorów, w których to cytatach »*sola*« lub »*in die*« są po prostu dodane do słów Pisma św.). Unikać mamy też naciągania i nakręcania słów Pisma św. do tematu kazania w tych wypadkach, w których one nieraz zupełnie co innego znaczą. Strzedz się należy dalej zbytniego alegoryzowania Pisma świętego, szukania alegoryi tam, gdzie ich niema, lub gdzie nie można ich stwierdzić. Katolicka hermeneutyka przyjmuje wprawdzie w Piśmie świętem prócz sensu dosłownego także »*sensus typicus*« (lub *mysticus*), ale niewiele stosunkowo jest faktów i słów Pisma świętego, w których to znaczenie z pewnością stwierdzić można. Bardzo wielu ascetycznych pisarzy i kaznodziei, ba nawet wielu z Ojców Kościoła (szczególnie z tak zwanej aleksandryjskiej szkoły) idzie w tym kierunku stanowczo za daleko: ich alegorye są często bardzo śmiałe, naciągane i co najmniej bardzo niepewne. Używanie takich alegoryi w kazaniu jest z pewnością nieodpowiedne: dla prostaczków są one za trudne, a u wykształco-

nych niełatwo znajdą wiarę. Jeżeli się już ich używa, to mogą one służyć od biedy jako objaśnienie lub plastyczne przedstawienie prawdy, ale nie powinny nigdy zajmować miejsca dowodów z Pisma świętego, gdyż niemi w istocie nie są. Nikt nie broni natomiast kaznodziei używać tych typów i figur z Pisma świętego, które bądź to samo Pismo św., bądź też tradycya Kościoła za takie uznała (przykłady można znaleźć w każdej hermeneutyce). Takie typy czy alegorye są zwykle proste, jasne, zrozumiałe, a w każdym razie prawdziwe, bo oparte na powadze Słowa Bożego lub Kościoła.

Zastrzedz musimy się przytem przed zarzutem, który mógłby się nasunąć czytającemu te słowa. Może się komu zdawać, że te przestrogi przed używaniem pewnych dzieł ascetycznych, legend i objawień, tudzież »znaczenia mistycznego« Ksiąg świętych pochodzą z pewnego racyonalizmu i naturalizmu, że są skutkiem zbyt daleko idącego rachowania się z duchem czasu, nieprzyjaznego wszystkiemu, co nadprzyrodzone. Nie jest tak bynajmniej: racyonalizm dążył do tego, żeby usunąć z kazania i katechezy pierwiastek nadprzyrodzony, unikał omawiania dogmatów chrześcijańskich, ograniczał się do płytkiego i jałowego moralizowania, a prawidła moralności chrześcijańskiej zastępował przepisami etyki naturalnej; najgłówniejsze swe dowody czerpał z rozumu naturalnego; słowem: dążył do wychowania ludu chrześcijańskiego na »porządnych ludzi«, na »pożytecznych społeczeństwu obywateli«, ale nie na prawdziwych naśladowców Chrystusa. My twierdzimy przeciwnie, że kazanie powinno jak najwięcej odpowiadać nauce Kościoła, opierać się przedewszystkiem na prawdzie objawio-

nej, zawartej w Piśmie św. i nauce Kościoła, być jednem słowem na wskróś chrześcijańskiem, kościelnem. Chcemy jeno wykluczyć z kazania to, co wcale nie podnosi chrześcijańskiego i nadprzyrodzonego charakteru wymowy kościelnej, lecz pozbawia ją prawdy, która jest najważniejszym przymiotem każdej wymowy, która każdej nadaje wartość rzetelną, która jest więc i w wymowie kościelnej niezbędna. Nie rachowanie się z duchem czasu powinno nas chronić od wszelkiej przesady i fałszu w kazaniu, ale rachowanie się z rozkazem Chrystusa, który wysyłając apostołów kazał im nauczać swej prawdy, a nie czego innego (»*docete omnes gentes... docentes eos servare omnia, quaecumque mandavi vobis*«, »nauczajcie wszystkie narody... nauczając je chować wszystko, com wam kolwiek przykazał« Math. XXVIII. 20.), rachowanie się z wolą Chrystusa, z istotą naszego powołania, z istotną potrzebą naszych wiernych. Pamiętajmy o tem, że prawdą i tylko prawdą możemy lud naszej pieczy powierzony do naszego Pana i Zbawiciela zaprowadzić: »*Veritas liberabit vos!*« »Prawda wyswobodzi was!«

II.

BĄDŹ NATURALNYM!

Jungmann robi w swem dziele »Theorie der geistlichen Beredsamkeit« (ed. IV. roz. IV. Kp. 4. 91) trafną uwagę, że bardzo rzadko możemy znaleźć fotografię, na którejby postać, a szczególniej twarz ludzka była zupełnie podobna do rzeczywistej, żeby miała zwykły swój wygląd, by była naturalną. Pochodzi to bezwątpienia stąd, iż gdy człowiek zdaje sobie sprawę z tego, iż ma być w danej chwili »uwieczniony« w obrazie, zaczyna mimowoli pozować, przybiera niezwykłą, nienaturalną postawę, układa twarz w sposób niezwyczajny i dlatego nie widzimy go na obrazie takim, jakim jest zwykle, ale jakim chce się pokazać w danej, uroczystej chwili.

Podobnie dzieje się często, gdy musimy wystąpić publicznie: człowiek wyzbywa się zwykłego sposobu chodzenia, gestów, mówienia, staje na koturnie, jest inny, niż w codziennem życiu, pozuje, jest nienaturalnym. To samo możemy także zauważyć na sobie i na drugich podczas przeróżnych naszych czynności kapłańskich, duszpasterskich.

Tak n. p. napotykamy wcale często kapłanów, którzy nie umieją być sobą na ambonie. Zaledwie staną na kazalnicy, stają się jakby innymi ludźmi. Samo wygłoszenie kazania różni się u nich zupełnie od ich zwykłej mowy. Choć zdrowy rozum i przepisy homiletyki wymagają, by pronuncyacya na ambonie nie różniła się od zwykłej, poważnej a serdecznej konwersacyi [1]), to taki kaznodzieja wpada od razu we wstrętny t. z. »ton kaznodziejski« *(»Predigerton«)*. Fałszywe, afektowane akcentowanie poszczególnych wyrazów, niepotrzebny, nieumotywowany patos, błędne wymawianie samogłosek i t. d. są jak gdyby koniecznemi akcesoryami wymowy kościelnej. Zdaje się, jakoby u nich na tym fałszywym, nienaturalnym tonie, na tej niemęskiej afektacyi polegało namaszczenie kaznodziejskie, ten tak cenny, konieczny przymiot prawdziwej wymowy religijnej. Inni nie mogą być sobą w szkole. Sądzą, że dla zachowania powagi swego stanu i dla wywierania należytego wpływu na powierzoną im młodzież muszą stanąć na koturnie, przemawiać inaczej niż zwykle, nienaturalnie, patetycznie. Są wreszcie tacy duszpasterze, którzy przybierają *ad hoc* specyalne pozy, ile razy mają wogóle do spełnienia jakąś funkcyę swego zawodu, choćby to było zaopatrzenie chorego, czy nawet czynność urzędowa w kancelaryi parafialnej. A jak często występuje poza w czynnościach liturgicznych! Ilu odprawia nienaturalnie Mszę św., lub inne święte obrzędy!

---

[1]) Wzgląd na rozmiar kościoła i liczne audytoryum powinny skłaniać kaznodzieję, by mówił głośniej, wyraźniej i bardziej powoli, niż w pokoju, a nawet niż w szkole.

Jakiż powód tego zjawiska? Nie mówimy tu o ludziach, którzy świadomie przybierają nienaturalną pozę w swych kapłańskich czynnościach. Są to po prostu komedyanci i należą, Bogu dzięki, do bardzo rzadkich wyjątków. Zwyczajnie jest duszpasterz w swych czynnościach nienaturalnym, podobnie jak człowiek pozujący do fotografii, nieświadomie, *bona fide*, że tak powiem przypadkiem. Czynności duszpasterskie mają bezpośrednio lub pośrednio styczność z porządkiem nadprzyrodzonym. Czy kapłan występuje jako Ofiarnik przy Mszy św., czy głosi słowo Boże na ambonie lub w szkole, czy rozsądza sprawy duszy i sumienia w trybunale pokuty, występuje zawsze w charakterze nadprzyrodzonym, jako posłannik Boży. Ta misya nadnaturalna wymaga od niego powagi, skupienia, pobożności, przejęcia się tem, co mówi i czyni. Człowiek niewyrobiony dostatecznie może dojść do błędnego przekonania, że, aby wystąpić godnie i odpowiednio do swego stanu i swej nadprzyrodzonej misyi musi przybrać jakąś specyalnę pozę, jakąś »urzędową« minę, a prawdy objawione, święte i wielkie głosić w jakiś inny sposób, niż zwykłe słowa. Jeżeli do tego natrafi na nieszczęśliwe wzory, łatwo zacznie być nienaturalnym, a jeżeli nie zwróci mu nikt wczas uwagi, iż idzie fałszywym torem, manieruje się zupełnie i później zatraca nawet poczucie tego, co proste, a co robione, co naturalne, a co sztuczne i staje się nienaturalnym, afektowanym nawet w codziennem życiu.

Czy przesada, nienaturalność, afektacya wywiera wpływ szkodliwy na działalność duszpasterską? Pytanie doprawdy zbyteczne. Są może

jednostki o bardzo zepsutym smaku, szczególniej ze sfer t. z. półinteligencyi, którym afektowany sposób mówienia i postępowania się podoba; są niektóre tkliwe dusze, które wylewają potoki łez, gdy słyszą kazanie wygłoszone z fałszywym patosem; ale takich jednostek jest zapewne niewiele. Ludzie prawdziwie wykształceni poznają się na tej nieprawdzie, która tkwi w braku naturalności i prostoty, a prosty lud i dzieci odczują to. Jedni i drudzy tracą przynajmniej do pewnego stopnia zaufanie do człowieka, który nie jest sobą, który (acz może nieświadomie) jest nienaturalnym, teatralnym. Szczególniej dzieci, obdarzone niesłychanie bystrym zmysłem obserwacyjnym, spostrzegą się bardzo łatwo na tem, że ich katecheta jest nienaturalnym, a zdrowy instynkt dziecka odczuwa bardzo dotkliwie śmieszność i fałsz, który tkwi w tej afektacyi. Gdy nienaturalność duszpasterza jest zbyt wyraźna i rażąca, ośmiesza go i podkopuje zupełnie jego powagę i wpływ. Kto natomiast postępuje z drugimi w sposób prosty i naturalny zyskuje ich zaufanie, trafia do przekonania i serca. Szczególniej kaznodzieja, który przemawia do ludzi w sposób, odpowiadający naturze, po prostu, ze serca, może być pewnym, że trafi też do rozumu i do serca swego audytoryum. Pomimo znacznych różnic, spowodowanych wiekiem, płcią, wykształceniem i wychowaniem jest natura ostatecznie u wszystkich ludzi ta sama; dlatego też to, co wypływa szczerze i po prostu z natury i przekonania mówiącego, znajduje naturalny oddźwięk w słuchającym. »*Testimonium animae naturaliter Christianae*« zatwierdzi te prawdy objawione, które jej się poda w sposób prosty i natu-

ralny, ale niełatwo je przyjmie, gdy wyczuje w nich domieszkę fałszywej afektacyi.

W jaki sposób możemy się ustrzedz przesady i afektacyi? Przedewszystkiem powinniśmy we wszystkich naszych czynnościach kierować się sumieniem, a nie szukać chwały i wzięcia u ludzi. Kto spekuluje na poklask u drugich, kto myśli zawsze o tem, jak się wyda jego postępowanie, jego słowo, jak będzie ocenione i oszacowane, ten mimowoli zaczyna pozować. Kto przeciwnie szuka we wszystkiem spełnienia obowiązku i kieruje się głosem sumienia, ten nie ma potrzeby wstępywać na koturn i okazywać się innym, niż jest w istocie. Oczywiście, aby mieć odwagę pokazać się takim, jakim się jest, potrzeba być człowiekiem prawdziwie duchowo wyrobionym: stąd też mali ludzie przybierają tak chętnie sztuczną pozę, podczas gdy prawdziwie wielcy mają zwykle odwagę być naturalnymi. Stąd to pokora i prostota są konieczną podstawą prawdziwej wielkości, a próżność i chęć błyszczenia zwykłemi towarzyszkami małej i marnej duszy.

Człowiek naturalny musi dalej unikać szablonu i rutyny, która wszystko i wszystkich podciąga pod jeden strychulec. Bóg dał każdemu pewne specyalne cechy charakteru, temperamentu i t. d., nawet pewne zewnętrzne odrębne właściwości n. p. głosu, wymowy, postawy i t. d. Rozumie się samo przez się, że duszpasterz nie może dać się opanować przez swój temperament, skłonności i inne właściwości swej natury; musi on je okiełzać, niemi rządzić, kierować niemi rozumem i wolą. Ale postąpiłby on nierozumnie, gdyby chciał te naturalne przymioty i właściwości zniszczyć, zupełnie

przetworzyć lub zabić w sobie. Łaska nie niszczy naturalnych właściwości człowieka, tylko je uszlachetnia i wydoskonala: »*gratia non destruit naturam, sed perficit*«. Kto stara się zatracić swą indywidualność lub ją przetworzyć na inną, ten musi stać się nienaturalnym i sztucznym, kto natomiast stara się tę indywidualność urobić, udoskonalić, uszlachetnić, ten może wywierać znaczny wpływ na swe otoczenie. Nowożytna pedagogia podnosi wciąż potrzebę indywidualnego wychowania młodzieży; teologia pastoralna kładzie silny nacisk na potrzebę uwzględnienia indywidualnych potrzeb duszy ludzkiej. Tem więcej musimy się domagać, by sam nauczyciel, wychowawca, duszpasterz nie był manekinem, nakręconym na pewną modłę i urobionym podług danego schematu, ale całym człowiekiem z wszystkiemi właściwościami swej natury, oczywiście kierowanemi i hamowanemi rozumem i wolą, wiarą i łaską.

Dlatego o ile dobrem jest dla duszpasterza korzystanie z dobrych wzorów w życiu i mowie, o ile niebezpiecznem jest kierowanie się wyłącznie własnem widzimisię i szukanie zupełnie odrębnych dróg w duszpasterstwie, o tyle złem jest ślepe naśladownictwo nawet najlepszych wzorów. »Wszystkiego doświadczajcie i co dobre jest dzierżcie« (I. Thesal. V. 21.) radzi św. Paweł. Nie kierujmy się jakąś fałszywą zarozumiałością: korzystajmy skrzętnie z tego, co nam dają rozum i doświadczenie innych, ale nie stawajmy się ślepymi naśladowcami, nie przestawajmy być sobą.

Gdy n. p. przygotowujemy się do głoszenia słowa Bożego, musimy korzystać ze środków pomocniczych, możemy nawet wyzyskać gotowe,

drukowane kazania lub katechezy. Ale nie powinniśmy nigdy korzystać z nich dosłownie, reprodukować wiernie, nie dodawszy nic ze swego. Takie kazania będą zawsze sztuczne, nienaturalne, gdyż nie mogą całkowicie odpowiadać naszej naturze i jej właściwościom. Gdy przygotowujemy kazanie, musimy prawdy, które czerpiemy z gotowych wzorów nie tylko przyswoić sobie pamięcią, ale je niejako przetrawić, to znaczy przemyśleć, przemedytować, uczynić swoją duchową własnością: wówczas znajdziemy dla nich bez wielkiego trudu odpowiednią, a oryginalną i naturalną formę.

Wspaniałym wzorem prostoty i naturalności, wdzięku i namaszczenia są dla nas księgi Pisma Świętego. Najgłębsze, najbardziej wzruszające i przejmujące prawdy są tam podane w sposób niesłychanie naturalny i prosty, a właśnie dlatego tak silnie działają i trwale. Weźmy przecudne przypowieści P. Jezusa (n. p. o synu marnotrawnym, o miłosiernym samarytaninie), opis najszczytniejszych cudów (wskrzeszenie Łazarza), całą historyę jego męki i śmierci: ileż tam piękna i potęgi, a jak niesłychana prostota i jaki brak wszelkiej afektacyi. Piękne wzory prostoty i naturalności daje nam też (z małemi wyjątkami) liturgia Kościoła i niektóre dzieła wielkich pisarzy chrześcijaństwa. Także i w literaturze świeckiej możemy się przekonać, że najcelniejsze i najsilniej działające utwory, to zwykle dzieła pełne prostoty i naturalności. Nie można sobie wyobrazić n. p. większej prostoty i naturalności jak w »Panu Tadeuszu«, a przecież nie wiem, czy którekolwiek dzieło naszej literatury wywarło i wywiera równie silne wrażenie... przynajmniej na natury zdrowe

i niezepsute »modernistycznymi« utworami, które są najczęściej odstraszającym przykładem patosu i pozy obok braku prawdziwie wielkich myśli i uczuć. Natomiast musimy przyznać, że mnóstwo dzieł ascetycznych, szczególniej pochodzących od autorów *minorum gentium* grzeszy obok innych występków także nieznośnym, fałszywym patosem i brakiem prostoty. Temu przedewszystkiem mamy też do zawdzięczenia, że tego rodzaju książki wychowały całe generacye nienaturalnej i sztucznej dewocyi, a z drugiej strony podkopały u ludzi prosto i trzeźwo myślących powagę tak ważnej i koniecznej nauki, jaką jest ascetyka, ba, nawet powagę katolickiego piśmiennictwa wogóle. Nie doprowadzajmy przynajmniej do tego, by nasze życie i słowo, przez nienaturalność i afektacyę utrudniało nam naszą i tak trudną działalność duszpasterską, by osłabiało nasz wpływ i tak zagrożony przez tylu zewnętrznych wrogów.

III.

MÓW KRÓTKO!

Każdy z nas zrobił zapewne nieraz to doświadczenie, iż mówiąc o kazaniu, które słyszał lub czytał, streścił swój sąd krótko w słowach: »Kazanie było za długie«. Tak samo słyszeliśmy nieraz z ust najinteligentniejszych jak i najnieuczeńszych słuchaczów, że to lub owo kazanie było może dobre, ale za długie, a nawet dają się słyszeć skargi, że kazania są na ogół za długie i za przewlekłe a chyba prawie nigdy nie narzekają ludzie na to, że kazanie było zbyt krótkie. Nasuwa się pytanie, dlaczego ta skarga powtarza się tak często i musimy dodać, jest zwyczajnie tak słuszną, dlaczego długie kazanie uważamy za nieodpowiednie i szkodliwe.

Pierwszym powodem, dla którego kazanie długie, choćby zresztą dobre, uważam za nieodpowiednie i mijające się z celem, jest ta okoliczność, że długiej przemowy słuchacze nasi n i e z r o z u m i ą całkiem, a przynajmniej nie zrozumią jej łatwo i zupełnie. Długiej przemowy nie zrozumią słuchacze nawet najinteligentniejsi, tem bardziej zaś prosty

lud, zwłaszcza, gdy mowa o rzeczach trudniejszych, abstrakcyjnych, jakiemi z konieczności zajmować się musimy nieraz w kazaniu. Widzimy to nie tylko w kościele, ale możemy skonstatować, że najlepszy odczyt, najlepsza przemowa parlamentarna staje się nudną i niezrozumiałą, jeżeli trwa za długo. Myśl ludzka nie łatwo skupia się przy pewnym przedmiocie; jeżeli zajmuje się nim długo, następuje nuda i znużenie. Znużenie to odbija się na twarzy i w postaci słuchacza, który zmuszony jest wysłuchać długotrwałej przemowy. Kiedy zaś słuchacz zaczyna się nudzić i odczuwa znużenie, wówczas przestaje uważać, a co za tem idzie, przestaje korzystać ze słów mowcy. Choćby zatem mowca przemawiał najpiękniej, choćby używał dowodów najlogiczniejszych i najprzystępniejszych, choćby poruszał sprawy najciekawsze dla słuchaczów, jeżeli u słuchaczów nie znajdzie uwagi i świeżego umysłu, nie wywrze swojem przemówieniem najmniejszego wrażenia. Stąd też utarło się zdanie, że kaznodzieja, który przemawia zbyt długo, mówi zaledwie część kazania do słuchaczów, a resztę do ścian kościoła. Jeżeli nawet mowy i prelekcye, które wygłaszamy wobec zamkniętego audytoryum ludzi wykształconych i myślących, nie powinny być zbyt długie, gdyż słuchacze przestają uważać a więc i korzystać z wykładu, to tem bardziej kazanie, które głosimy wobec ludu prostego, wobec ludu, któremu bardzo trudno nawet na chwilę skupić uwagę, powinno być krótkie i niemęczące.

Drugim powodem, dla którego powinniśmy unikać przedługich kazań, jest to, że wielu słuchaczów nie ma czasu na słuchanie długich przemówień. Wielu słuchaczów ma czas, który mogą

poświęcić wogóle na nabożeństwo, bardzo ściśle ograniczony. Z doświadczenia wiemy, że niejeden nawet gorliwy katolik nie może być w niedzielę na cichej mszy św., gdyż obowiązki stanu nie dają mu nawet tej półgodziny wolnego czasu na należyte odprawienie nabożeństwa. Tem mniej możemy liczyć na to, żeby wszyscy wierni mieli czas brać udział w dłuższych nabożeństwach i słuchać całogodzinnych kazań. Jeżeli kazania niedzielne albo świąteczne są zbyt długie, to wierni albo wcale na kazanie nie przychodzą, albo wychodzą w połowie nauki, albo co gorsza opuszczają znaczną część mszy św., na którą po prostu już nie mają czasu. Szczególniej w miastach, w których ludzie żyją w znacznej części dokładnie według zegara, przedłużenie kazania o kilka lub kilkanaście minut może być dla wielu słuchaczów bardzo niewygodne.

Należy wreszcie liczyć się z tem, że ludzie dzisiejsi są coraz niecierpliwsi i coraz bardziej nerwowi. Dzisiejszy człowiek lęka się czytania kilkutomowych dzieł lub foliałów, chwyta raczej za niewielkie broszury lub gazety. Tak samo nie lubią dzisiejsi ludzie długich elukubracyi, dłuższych wywodzeń i przemów, wolą krótkie, treściwe słowa niż dłuższe, choćby gruntowniejsze omówienie jakiejś sprawy. Jeżeli więc mowca, a zatem i kaznodzieja przemawia zbyt długo, wówczas przeciętny słuchacz zaczyna się niecierpliwić i denerwować, przez co skupienie i uwaga, a zatem i zrozumienie kazania cierpi niesłychanie.

Nie da się wreszcie zaprzeczyć, że wielu wiernych nie ma dość dobrej woli i chęci słuchania dłuższych kazań. Słuchanie słowa Bożego wogóle jest dla wielu chrześcijan rzeczą nie bardzo przyjemną

i lada powód wystarczy, aby się od tego obowiązku wyłamać. Znacznie łatwiej jednak można skłonić takiego chrześcijanina, by poświęcił kilka minut na wysłuchanie kazania, niż by na to ofiarował więcej czasu. Zapewne, że tego rodzaju obojętności nie można chwalić ani popierać, ale należy się z nią w każdym razie liczyć. Jeżeli uda się duszpasterzowi skłonić takiego rodzaju wiernych, aby słuchali bodaj krótkich kazań i nauk, to zyska w każdym razie bardzo wiele. Lepiej stokrotnie, aby ci ludzie choć coś korzystali z krótszych kazań, niż aby zrażeni długiemi naukami unikali słuchania słowa Bożego a może i nabożeństw kościelnych wogóle.

Na obronę zwyczaju dłuższych kazań możnaby przytoczyć, że przecież pierwszorzędni mowcy, przedewszystkiem klasyczni mowcy francuscy głosili zwykle bardzo długie kazania. Na ten zarzut powiadamy że przedewszystkiem nie zawsze ci kaznodzieje mówili te kazania tak samo, jak je spisywali; pisali kazania raczej dla czytelnika niż dla słuchacza. A wiadomo, że znacznie łatwiej przeczytać dłuższą przemowę, niż wysłuchać jej z korzyścią. Dalej ci mowcy byli wielkimi i znakomitymi: jeźli nie możemy ich naśladować w ich przymiotach, nie naśladujmy w tem, co mogło ujść u wielkiego mowcy, a co będzie zgubnem u przeciętnego kaznodziei. Dalej kaznodzieje ci przemawiali nieraz w bardzo szczęśliwych warunkach, mówili do audytoryum bardzo wyborowego, wykształconego i niezmęczonego, podczas gdy my mówimy zwyczajnie do prostego ludu, w przepełnionych kościołach, w zimnie lub w gorącu i t. d. Z pewnością kaznodzieja, który przemawiał w kaplicy wersalskiej wobec Ludwika XIV. i jego dworu, nie mówiłby

tak samo i tak długo, gdyby miał przed sobą to audytoryum i w tych warunkach, w jakich my przemawiamy. Wkońcu nie twierdzimy, że i te mowy klasycznych kaznodziei nie byłyby lepszemi, gdyby ci mowcy umieli streszczać się w krótkich, jędrniejszych przemówieniach.

Mogłoby się też zdawać, że w krótkich przemówieniach nie potrafi kaznodzieja omówić wszechstronnie swego przedmiotu, że krótkie kazanie będzie powierzchowne. Na to odpowiadamy, że kazanie to nie traktat teologiczny ani rozprawa naukowa, która musi omówić wszechstronnie dany przedmiot sam w sobie i w swoich konsekwencyach i szczegółach. Jeżeli kaznodzieja widzi, że nie może danego materyału w kazaniu krótkiem wszechstronnie wyczerpać, to w takim razie niech ograniczy ten materyał, wybierze z niego tylko te myśli, które może w krótkim czasie omówić, zakreśli sobie cel konkretny i ściśle oznaczony, a wszystkie inne myśli niech odłoży na inny raz, do innego kazania, do innej przemowy. Z temi zastrzeżeniami musimy zaznaczyć, że nawet w krótkiem kazaniu, w czasie 15 do 25 minut można powiedzieć bardzo wiele, można kilka myśli w ten sposób przeprowadzić, że słuchacze odniosą korzyść; gdybyśmy zaś tę samą myśl rozprowadzili w długiem kazaniu, w takim razie myśli tej nie pogłębimy, gdyż słuchacze zmęczeni nie zrozumią jej.

Nie da się zaprzeczyć, że niektórzy kaznodzieje mówią zbyt długo z powodu źle zrozumianej gorliwości: chcieliby niejako wszystkie piękne nauki i dobre rady zastosować do swego audytoryum w jednem kazaniu. Skutek tego będzie ten sam, jakgdyby ktoś chcąc serdecznie ugościć przyja-

ciela, przymuszał go do spożycia takiej ilości pokarmu, jakiej on żadną miarą strawić nie może. Nie brak wkońcu i takich mowców, którzy zakochani w swych słowach słuchają samych siebie z zachwytem i sądzą w swej naiwności, że wszyscy znajdują taką samą przyjemność w słuchaniu ich arcydzieł.

W jaki sposób możemy dojść do tego, by mówić krótkie kazania? Przedewszystkiem musimy się do kazania dokładnie przygotować. Jeden z angielskich mężów stanu rozpoczął swą mowę od znanych słów: »będę mówił dłużej, albowiem jestem nieprzygotowany«. Kto stara się dopiero podczas kazania ułożyć myśli, dowody, przykłady i zastosowania praktyczne, ten naraża się na niebezpieczeństwo, że będzie mówił długo. Przekona się bowiem w ciągu swej mowy, że opuścił rzeczy ważne, może najważniejsze, że pominął myśli, których pominąć nie powinien i dlatego musi nieraz powracać do początku, musi się nieraz powtarzać i nie może znaleść końca. Stąd to owe nieszczęśliwe: »mam wam jeszcze coś powiedzieć«, »jeszcze jedna uwaga«, »zapomniałem dodać« — stąd pochodzą owe niefortunne, długie i nudne zakończenia, podczas których słuchacze odczuwają, jak kaznodzieja szuka jakiejś szczęśliwej myśli na zakończenie i nie może jej znaleść. Jeżeli natomiast obmyślimy całe kazanie dokładnie, jeżeli naszkicujemy nie tylko główne myśli i podziały kazania, ale zdamy sobie sprawę ze wszystkich szczegółów, które mamy zamiar w kazaniu umieścić, to wówczas przekonamy się, że można wszystko powiedzieć, co się chciało, w stosunkowo krótkim czasie.

Podczas przygotowania należy dalej ograniczyć ściśle cel i przedmiot kazania. Jeżeli

mowca chce wyczerpać zbyt obszerny temat, jeżeli postawił sobie za daleko idący lub za szeroki cel, to wówczas kazanie musi być albo bardzo powierzchowne albo długie. Kto natomiast postawi sobie cel ściśle ograniczony i zadawala się omówieniem jednej lub drugiej myśli, ten może ją dostatecznie pogłębić nawet w bardzo krótkiej przemowie. Nie należy więc sądzić, że kazanie będzie dopiero wtedy dobre i gruntowne, jeżeli kaznodzieja zgromadzi w niem całe mnóstwo dowodów, przykładów i praktycznych zastosowań. Takie kazanie musiałoby być oczywiście bardzo długie. Jeżeli jednak mowca ograniczy się na jednym lub drugim logicznym, jasnym i pewnym dowodzie, jeżeli zadowoli się jednym lub drugim przykładem i niewielką ilością aplikacyi, wówczas zmieści to wszystko w zupełnie krótkiem kazaniu.

Na pytanie, jak długo powinno trwać kazanie, nie łatwo dać ogólną odpowiedź. Zależy to od przedmiotu, o którym mówi kaznodzieja, od osobistości kaznodziei, a przedewszystkiem od audytoryum, do którego się mówi. Sądzę jednak, że przynajmniej z reguły kazanie nie powinno trwać ponad 25 do 30 minut. Dłuższemi mogłyby być chyba konferencye wobec specyalnego, bardziej wykształconego audytoryum, chociaż i w tym wypadku sądzę, że na ogół biorąc, lepiej jest nie nadużywać i nie przeceniać zdolności myślenia tak zwanej a nawet rzeczywistej inteligencyi. Niektórzy homileci sądzą, że kazania misyjne i odpustowe mogą, a nawet powinny być dłuższemi niż zwykłe. Tego wyjątku nie mogę poprostu zrozumieć. Wszakże lud na misyach czy na odpuście nie ma ani innego rozumu ani innej zdolności pojmowania jak

w zwykłych warunkach, a więc długie kazanie misyjne czy odpustowe będzie mu tak samo niezrozumiałe. Owszem — wobec długich nabożeństw odpustowych byłbym raczej za tem, żeby te kazania były krótszemi niż zwyczajne.

Krócej niż zwykle powinien kaznodzieja przemawiać wobec audytoryum, któremu specyalnie trudno skupić uwagę na czas dłuższy lub zrozumieć dłuższą przemowę. Tak n. p. egzorty, szczególniej dla dzieci w szkołach ludowych nie powinny trwać dłużej niż kwadrans. Wiadomo przecież, jak trudno dziecku skupić uwagę na jeden przedmiot nawet na kilka minut, jakich sposobów używać trzeba, aby uwaga dzieci nie rozpraszała się podczas godzin szkolnych. Wobec tego, że na egzorcie nie można dzieci odpytywać i przez to podtrzymywać ich uwagi, musimy mówić bardzo krótko, bo inaczej roztargnienie i nieuwaga pozbawi egzortę wszelkiej wartości. Tak samo katechizacye i nauki wobec bardzo prostego ludu powinny być bardzo krótkie, jeżeli mają przynieść jakikolwiek pożytek. Nie trzeba chyba dodawać, że przemówienia podczas dłuższych ceremonii (Niedziela Palmowa, Wielki Tydzień, Boże Ciało) lub wobec audytoryum specyalnie nieuważnego lub niecierpliwego (przemowy na ślubach, pogrzebach, podczas święceń) muszą być krótsze, niż w zwykłych warunkach.

W niektórych miejscach są w użyciu t. zw. 10-minutowe kazania lub przemowy podczas mszy św. lub po mszy św. Co sądzić o tym zwyczaju? Nie myślę, żeby było rzeczą korzystną, gdyby te krótkie przemówienia miały usunąć zwyczajne, półgodzinne kazania podczas uroczystych nabo-

żeństw. Kilka minut jest czasem zbyt krótkim, by można nawet ściśle określony materyał jako tako wyczerpać i pogłębić. W specyalnych jednak warunkach n. p. w miastach, w których ludzie mają bardzo mało czasu lub chęci słuchania dłuższych kazań, sądzę, że zwyczaj ten ma swoje dodatnie strony, jeżeli oczywiście obok tych króciuchnych przemów są też zwykłe kazania podczas uroczystych nabożeństw. Umożliwia on bowiem wielu ludziom, którzy nie chodzą na sumę i nie słuchają kazań podczas nieszporów, korzystanie z kazań chociaż w pewnej mierze, zapoznanie się niejakie z nauką Chrystusa. Tam gdzie tego rodzaju warunki zachodzą, można utrzymać zwyczaj tych krótkich przemówień a nawet go wprowadzić. Rozumie się samo przez się, że takie kazania muszą być bardzo starannie przygotowane, muszą się ograniczyć na bardzo ściśle określony i szczupły materyał, muszą wchodzić od razu *in medias res,* bez długich wstępów i zakończeń. Sam słyszałem kilka razy za granicą tego rodzaju kilkuminutowe przemówienia i sądzę, że słuchacze odnieśli z tych kazań znaczną korzyść, w każdym razie większą, niż z niejednego całogodzinnego przemówienia.

IV.

NOWOŚĆ W KAZANIU.

»*Quotidiana vilescunt, varietas delectat*«. »Rzeczy codzienne i oklepane nudzą, nowość i odmiana pociąga«. O tem jesteśmy wszyscy przekonani choćby z własnego doświadczenia. Jeżeli widzimy często te same, choćby najpiękniejsze miejsca, jeżeli patrzymy wciąż na te same choć najpiękniejsze obrazy, czytamy często te same, choćby najciekawsze książki, obojętnieją nam one, a wkońcu poczynają nas nudzić. Tak samo najpiękniejsza, najciekawsza mowa, którą słyszymy często, przestaje nas zajmować, wkońcu staje się oklepaną i nudną. Nowoczesny zaś człowiek szuka coraz gorliwiej rzeczy nowych, ciekawych, niesłyszanych, a odrzuca jak kapryśne dziecko wnet wszystko, co nie ma dla niego uroku nowości. Od tej reguły, że rzeczy zbyt dobrze znane przestają pociągać i zajmować, niema wyjątku. Zatem i kazanie, któreby nie miało uroku nowości, nie znajdzie chętnych słuchaczów, nie zajmie, nie pociągnie, nie porwie. Prawda, że celem kazania nie może być podobać się słuchaczom, ale wiemy dobrze, że

każdy mowca, a więc i kaznodzieja nie może liczyć na to, że przekona swoje audytoryum i nakłoni je do tego, by poszło za jego radą, jeżeli mu nie uda się bodaj do pewnego stopnia zainteresować go i pociągnąć. »*Delectare suavitatis est*« Cicerona ma znaczenie tak samo w wymowie kościelnej, jak i świeckiej.

Musimy wyznać, że nie jest bynajmniej rzeczą łatwą nadać kazaniu cechę nowości, któraby mogła pociągnąć do siebie słuchacza. Przedewszystkiem musimy w kazaniu omawiać prawdy wiary i moralności stałe, niezmienne, ściśle określone. Nie możemy ich przemieniać lub przeinaczać, by urokiem nowych prawd zjednać sobie uwagę i poklask słuchaczów. Prawda ma w każdym razie w kazaniu stanowczo pierwszeństwo przed nowością i pięknem. Nie wolno nam nigdy ani na krok odstąpić od starej, utartej, choćby nawet oklepanej prawdy, nie wolno nam głosić nigdy ani cienia choćby bardzo nowego, ciekawego i interesującego fałszu. Nie godzi się nam dalej opuścić wielu prawd, które słuchacze słyszeli może bardzo często, jeżeli są one ważne i praktyczne dla życia chrześcijańskiego. Do pewnego stopnia musimy się z tem liczyć, że właściwie nowych rzeczy i nowych prawd nie możemy nigdy przedstawić naszym słuchaczom. Wszystko lub prawie wszystko, co głosimy, jest przynajmniej dla niektórych naszych słuchaczów nauką dawno znaną. Byłoby to już gonieniem za fałszywą nowością, gdybyśmy chcieli pomijać w kazaniu prawdy ważne i praktyczne dlatego, że nie są one ani dla nas, ani dla naszych słuchaczów czemś zupełnie nowem. Byłoby rzeczą niefortunną, gdyby kaznodzieja chciał nadać urok no-

wości swoim kazaniom w ten sposób, żeby wprowadzał na ambonę zagadnienia, które nie należą do treści słowa Bożego, albo też kwestye czysto teoretyczne z dziedziny teologii, szczególniej kwestye sporne. Te rzeczy mogą zajmować teologów i polemików, ale nie nadają się one na ambonę, gdyż nie mają praktycznego znaczenia dla życia chrześcijańskiego. Pseudoscholastyczni kaznodzieje nie wahali się wprowadzać rozmaitego rodzaju subtelnych zagadnień i teoryi na ambonę, mówili o rzeczach bardzo nowych i niesłychanych, mogli zadziwić i zdumieć swoje audytoryum znaczną erudycyą, ale przez to samo podkopywali i niszczyli właściwe zadania kaznodziejstwa, mówili niepopularnie i niepraktycznie. Nie godzi się wreszcie dla kaznodziei chrześcijańskiego bawić słuchacza formą dziwaczną, nadzwyczajną, niesłychaną lub żartami, konceptami i dziwactwami, jak to czynili kaznodzieje epoki barokowej. Czytając kazania Abrahama a Santa Clara lub niejednego polskiego kaznodziei z XVII i XVIII wieku ubawimy się z pewnością ich konceptami i dziwactwami, znajdziemy w nich wiele rzeczy nowych i niesłychanych, a przecież z pewnością nikomu nie przyjdzie na myśl polecać tych właśnie kazań do naśladowania. Prostota, powaga, jasność i przejrzystość jest w kazaniu stokroć potrzebniejsza, niż urok nowości, jaki znajdujemy w tego rodzaju elukubracyach.

Chociaż kaznodzieja nie może, jak widzimy wybierać ani tematów zupełnie nowych i niezwykłych, ani też zdobywać uroku nowości kosztem prawdy, praktyczności lub powagi, to jednak nie brak mu zupełnie środków, ażeby do pewnego

stopnia nadać swoim kazaniom cechę nowości. Przedewszystkiem powinien unikać tego, by w ułożeniu i wygłoszeniu kazania był wyłącznie naśladowcą lub echem innego kaznodziei. Jeżeli ktoś powtarza cudze myśli i cudze słowa bez zmiany, wówczas kazanie jego traci charakter indywidualny, staje się oklepanem, nudnem, niezajmującem. Dlatego też, jeżeli nawet w konieczności korzysta się z gotowych, drukowanych kazań, powinno się starać przynajmniej przerobić je, przyswoić je sobie, przystosować do swej indywidualności i nadać im w ten sposób bodaj trochę uroku nowości. Dalej powinien kaznodzieja poznać głoszoną przez siebie prawdę bardzo gruntownie, przetrawić ją i przemedytować. Wówczas odkryje on w każdej prawdzie chrześcijańskiej wiele piękności nowych, których nie pozna przy powierzchownem przyjrzeniu się jej. Jeżeli oglądamy jakieś dzieło artystyczne niewielkiej wartości, to zainteresujemy się niem w pierwszej chwili, przy dłuższem przyglądaniu staje się ono nudne i nie wywiera żadnego wrażenia. Jeżeli jednak chodzi o prawdziwe arcydzieło, to wówczas jeżeli przyglądamy się mu częściej i badamy je gruntowniej, odkrywamy w niem coraz nowe piękności i szczegóły, których nie dostrzegliśmy na pierwsze wejrzenie. Tak samo, jeżeli mowca omawia sprawę podrzędną i niewielkiej wartości, nie może o niej mówić częściej bez obawy, iż zacznie się powtarzać i stanie się nudnym. Ale kaznodzieja, który zapoznaje swoich słuchaczów z prawdami wiary, może o nich mówić bardzo często i zawsze znajdzie coś nowego i zajmującego, jeżeli sam przedtem te prawdy dokładnie pozna i przemyśli.

Dlatego też kaznodzieja, który pozna dobrze i gruntownie prawdy wiary, który te prawdy przemyśli, przemedytuje i odczuje głęboko, znajdzie zawsze w tych prawdach coś nowego, pięknego i praktycznego dla swoich słuchaczów. Obok prawd znanych i powtarzanych często, są dalej prawdy z pewnością praktyczne i potrzebne, o których jednak nie często wspomina się na ambonie. Nauki o obowiązkach stanu, o niektórych sakramentach (n. p. o kapłaństwie, małżeństwie) są dla wielu słuchaczów nowością, a przynajmniej nie są oklepanym tematem, a przecież są to prawdy pożyteczne i praktyczne dla każdego audytoryum.

Aby nie znudzić swoich słuchaczów powinien dalej kaznodzieja unikać starannie szablonu. Wiecznie te same podziały, te same wstępy i te same zakończenia, zawsze ten sam porządek i układ kazania, wiecznie powtarzane zwroty, oklepane przykłady, wszystkim znane zastosowania, czynią kazanie banalnem, oklepanem, nudnem. Dlatego też powinno się zachować w układzie kazania wielką swobodę, nie narzucać sobie z góry pewnego schematu ani co do podziału całego kazania, ani też co do budowy poszczególnych części, przykłady zaś i cytaty należy podawać o ile możności nowe, bo tylko takie zainteresują i pociągną słuchacza. Ażeby zaś nie brakło kaznodziei przykładów i porównań prawdziwych, praktycznych a niezwykłych, powinien sobie założyć t. zw. *silva rerum*, to znaczy spisywać w porządku alfabetycznym lub rzeczowym przykłady, opowiadania, zdania lub cytaty, z którychby mógł wedle potrzeby korzystać. Od biedy mogą do tego służyć drukowane zbiory przykładów lub cytatów, ale

własny zbiór daje między innemi tę korzyść, że kaznodzieja poda słuchaczom coś nowego, czego nie słyszeli w innych kazaniach lub nie czytali w książkach. Wreszcie powinien kaznodzieja od czasu do czasu uciekać się do form kaznodziejskich, które są rzadziej w użyciu, a zatem mają pewną cechę nowości. Przedewszystkiem powinien od czasu do czasu głosić homilje i to nietylko na tle perykop ewangelicznych, które są w Mszale, ale na tle ciągłych ustępów, całych ksiąg Pisma Świętego. Ta forma wymowy kaznodziejskiej choć najstarsza i w pierwotnym kościele przeważnie używana, wyszła tak dalece z mody, że z pewnością wielu wiernych, którzy latami uczęszczają do kościoła, nie słyszeli nigdy prawdziwej homilii. Kto więc nie pożałuje trudu, jakiego wymaga wypracowanie dobrej homilii, ten znajdzie z pewnością ciekawe i wdzięczne audytoryum w kościele. Tak samo zamiast oklepanych i bardzo często nieudałych panegiryków na cześć Świętych Pańskich, możnaby czasem wygłosić kazanie na tle krótko i barwnie przedstawionego żywota Świętego. W ten sposób poznaliby wierni naprawdę tego, którego im się poleca czcić a barwnie, żywo opowiedziany żywot Świętego będzie miał dla słuchacza urok nowości, zajmie go, pociągnie i zachęci z pewnością bardziej do naśladowania, niż oklepane, banalne pochwały i panegiryki.

Kazania liturgiczne, których potrzebę wszyscy uznają, ale które mało kto wygłasza, objaśnienia nie tylko mszy św., ale i innych ceremonii liturgicznych, nawet zwyczajów polskiego Kościoła lub pieśni liturgicznych i ludowych będą dla wielu słuchaczów rzeczą zupełnie nową, bardzo

zajmującą, a przytem bardzo popularną i praktyczną. Wkońcu należy unikać monotonii w budowie zdań, stylu, a szczególnie w wygłoszeniu kazania. Żywo, naturalnie a zrozumiale wygłoszone kazanie ma zawsze do pewnego stopnia urok nowości i podoba się; monotonne wygłoszenie natomiast nudzi i usypia nawet uważne i zaciekawione audytoryum.

Tak więc bez zmiany i fałszowania odwiecznych prawd wiary, bez uciekania się do sztuczek i dziwactw, uda się nam do pewnego stopnia przynajmniej nadać kazaniu cechę nowości a więc zainteresować i pociągnąć słuchacza. »*Dicas nove, non dicas nova*«: »głoś prawdy nie nowe, ale w nowej a wdzięcznej szacie« powinno stać się hasłem każdego kaznodziei.

V.

DOWODY W KAZANIU.

Każdy człowiek powinien kierować się w życiu i postępowaniu swojem stałemi zasadami i przekonaniami, a nie chwilowymi nastrojami lub kaprysami. Życie chrześcijańskie nie ma też rzetelnej wartości, jeżeli nie jest oparte na stałych, niezłomnych podstawach, jeżeli uczucie i wola nie opiera się na stałem przekonaniu. Jeżeli kaznodzieja pragnie zatem wzbudzić i rozwinąć w swych słuchaczach życie chrześcijańskie, jeżeli pragnie skutecznie działać na ich uczucia i kierować ich wolą, musi przedtem wzbudzić, rozwinąć i ugruntować w nich silne przekonanie religijne. W przeciwnym razie może obudzić w słuchaczach chwilowe uczucia, może zająć ich wyobraźnię, może poruszyć ich do łez, a nawet pobudzić do niektórych dorywczych dobrych uczynków, ale nie potrafi doprowadzić do tego, żeby słuchacze szli trwale i stale za wolą bożą, żeby żyli tak, jak się domaga od nich ich rozum, ich sumienie i wola Chrystusa. Modernizm stara się ograniczyć cały wpływ chrześcijaństwa na uczucie i wolę człowieka, a wielu powierzchownych chrześcijan uważa

także uczucie religijne jako najważniejszy, może jedyny czynnik religijny. Wogóle człowiek dzisiejszy kieruje się raczej porywami i nastrojami niż silnemi i stałemi przekonaniami, a nasze społeczeństwo cierpi może bardziej niż inne na brak silnych i stałych zasad religijnych, choć nie brak mu ludzi o szlachetnych porywach i uczuciowo-religijnych. Właśnie wobec tej niestałości poglądów i zasad musi kaznodzieja ze zdwojoną siłą starać się o to, ażeby w swoich słuchaczach wyrobić bardzo pewne przekonania religijne jako normę chrześcijańskiego życia. Dlatego też nie wystarczy przedstawić wiernym prawdy chrześcijańskie i objaśnić je, nie wystarczy nawet w bardzo plastyczny sposób je uprzytomnić i wytłómaczyć, nie wystarczy porwać uczucie słuchacza, ale w każdem kazaniu musi mowca mieć na oku jako jeden z celów wymowy: przekonać wiernych, że to, co mówi, jest prawdą. »*Probare necessitatis est*« twierdzi Cicero (Orator cap. 21 nr. 69).

Dowody są w kazaniach tem bardziej potrzebne, że przeciw prawdom, które kaznodzieja głosi, podnoszą się trudności i wątpliwości. Nie mamy tu na myśli trudności ściśle natury dogmatycznej, które podnoszą niewierzący i innowiercy. Z takiemi trudnościami musi się kaznodzieja rozprawiać w t. zw. kazaniach polemicznych, które jednak w naszych warunkach wypadnie głosić tylko wyjątkowo. Ale mam tu na myśli głównie zarzuty natury bardziej praktycznej, które dostają się do naszych słuchaczów rozmaitemi drogami: bądź w rozmowach poufnych, bądź to przez książki, gazety i propagandę, wrogą objawionej prawdzie. Przedewszystkiem mamy na myśli praktyczne tru-

dności, które podnosi przeciw nauce objawionej własna nasza zepsuta natura. Tego rodzaju trudności powstają niemal u wszystkich słuchaczów i właśnie dlatego, że pochodzą one raczej z zepsutej woli niż ze spaczonego rozumu, są trudniejsze do zwalczenia. Tak n. p. nie potrzebuje kaznodzieja wielu dowodów używać wobec ludu wierzącego na to, że istnieje Trójca Przenajświętsza; lecz znacznie więcej musi poświęcić czasu, by przekonać swych słuchaczów, że jest obowiązkiem każdego unikać okazyi do grzechu, spełniać obowiązki swego stanu, przebaczać wrogom i t. d. Wogóle tam, gdzie prawdzie objawionej sprzeciwia się nie tyle spaczony rozum, co zepsuta wola, potrzeba znacznie więcej trudu i starań, aby słuchacza naprawdę przekonać.

Co znaczy dowodzić w kazaniu? Wobec tego, że kapłan głosi często na ambonie prawdy, które są tajemnicami wiary, zrozumiemy łatwo, że nie można tych prawd udowodnić z natury rzeczy. Tak n. p. że Pan Jezus jest obecny w Sakramencie Ołtarza, tego nie można udowodnić aż do ewidencyi ani wogóle przeprowadzić na to dowodu z natury rzeczy. Aby wzbudzić w wiernych przekonanie religijne, to znaczy, ażeby wzbudzić w nich silny akt wiary, silne przekonanie w prawdziwość głoszonej przez kaznodzieję prawdy, musi kaznodzieja wykazać, że jego nauka jest słowem Bożem, że zawiera się w objawieniu, a przynajmniej jest konsekwencyą z nauki świętej. Jeżeli n. p. ma kaznodzieja przekonać o prawdzie, że dusza ludzka jest nieśmiertelną, musi słuchaczów doprowadzić do tego, żeby uznali, że Bóg objawił tę prawdę i podaje przez Kościół do wierzenia.

Z tego wynika, że dowodami pierwszorzędnymi w kaznodziejstwie są dowody t. zw. *ex auctoritate,* dowody zaczerpnięte z objawienia. Przedewszystkiem są to jedyne dowody, które możemy znaleść na ugruntowanie każdej prawdy objawionej, nawet tajemnicy, której istnienia nie potrafimy uzasadnić dowodami z rozumu lub doświadczenia. Dlatego też bez tych dowodów nie możemy sobie nawet pomyśleć dobrego kazania. Takie tylko dowody mogą doprowadzić do celu. Celem bowiem dowodzenia nie może być wyłącznie wzbudzić zwykłe naturalne przekonanie o tem, że to, co się głosi, jest prawdą. Tego rodzaju przekonanie może wystarczyć do pobudzenia życia naturalnie dobrego, nie może być jednak podstawą życia nadprzyrodzonego, a takiem jest życie chrześcijańskie. Dopiero wtedy, kiedy słuchacz nabierze przekonania, że te prawdy, które mu kaznodzieja przedstawia, należą do *depositum fidei,* że są częścią składową objawienia, tylko wówczas może przy pomocy łaski Bożej powstać w jego sercu akt wiary, na którym się opiera jedynie życie chrześcijańskie. »*Fides ex auditu, auditus autem per verbum Christi*« (Rom. 10, 17), »wiara ze słuchania a słuchanie przez słowo Chrystusa«. »Cóż innego czynimy, opierając naszą mowę na powadze świadectw objawienia, jak nie to, że chcemy uzyskać, by nas słuchano i wierzono nam?« »*Quid autem agimus divinis testimoniis docendo quod dicimus, nisi ut obedienter audiamur id est ut credatur eis*« uczy św. Augustyn (De doct. Christ. IV. c. 12. n. 27). Stąd błędnym był zwyczaj kaznodziei z epoki racyonalizmu opierania swej nauki przeważnie lub nawet wyłącznie na dowodach z rozumu lub do-

świadczenia. Te dowody nie były zdolne do obudzenia, krzewienia i ugruntowania nadprzyrodzonego życia chrześcijańskiego. Kaznodzieje, którzy takich dowodów przedewszystkiem używali, pracowali może bezwiednie na to, ażeby wedle recepty józefińskiej uczynić z ludzi porządnych obywateli państwa, a nie prawdziwe sługi Boże. Dlatego też prorocy, którzy głosili ludowi prawdy Boże, nie popierali słowa głoszonego długimi dowodami z rozumu, ale wskazywali: »tak mówi Pan«. Stąd i Chrystus Pan popiera naukę Swą przedewszystkiem nie wywodami z rozumu, ale wskazówką, że nauka Jego jest wykonaniem słów i przepowiedni Pisma św.; »*ut adimpleantur scripturae*«, »aby się wykonało Pismo«.

Dowody pierwszorzędne dzielimy na bezpośrednie i pośrednie. Dowody bezpośrednie wykazują wprost, iż prawda, którą głosimy, znajduje się w objawieniu, a zatem zasługuje na wiarę. Najwyraźniej, najkonkretniej i najprzystępniej mamy zwykle tego rodzaju prawdy sformułowane w definicyach soborów i dekretach papieskich, mniej ściśle w liturgii i w zwyczajach kościelnych, czasem (ale nie zawsze) bardzo wyraźnie i bardzo jasno w Piśmie św. Może wyda się to dziwnem, że nie stawiamy dowodów z Pisma św. na pierwszem miejscu, choć niektórzy kaznodzieje uważają za święty obowiązek kłaść je zawsze na pierwszem miejscu. Zwyczaj ten pochodzi najprawdopodobniej z naśladowania podręczników teologicznych. Ponieważ podręczniki te muszą nieraz bronić prawd objawionych przeciw protestantom, kładą też główny nacisk na dowody z Pisma św., którego powagę uznają przeciwnicy. Inaczej powinno być w kaza-

niach. Na ambonie powinny znajdować pierwsze miejsce te dowody, z których łatwo może zwyczajny słuchacz poznać, że prawda głoszona przez kaznodzieję jest prawdą objawioną. Wiemy o tem, że Pismo św. nie zawiera wszystkich prawd objawionych, że nieraz prawdy te zawierają się niedość jasno i wyraźnie. W tych wypadkach musi kaznodzieja, chcąc swą prawdę udowodnić koniecznie z Pisma św., używać wywodów trudnych i długich. Ktoby n. p. chciał wykazać z Pisma św., że małżeństwo jest sakramentem, ten musiałby użyć do tego trudnych dedukcyi egzegetycznych, któreby dla przeważnej ilości słuchaczów były niezrozumiałe. Natomiast definicye Kościoła są bardzo często jasne, proste i zawierają bezpośrednio prawdę, o którą chodzi kaznodziei. Tak n. p. jeżeli mowa o liczbie lub naturze Sakramentów św., to trudno znaleść jaśniejsze dowody niż definicye dogmatyczne soboru trydenckiego. Wobec tego, że dekrety dogmatyczne Kościoła są tak samo prawdziwe i nieomylne, jak słowa Pisma św., mogą tak samo obudzić w słuchaczach silne przekonanie religijne jak i Pismo św. Dlatego stawiamy dowody tego rodzaju jako najprostsze między bezpośrednimi. Mniej wartości jako dowody mają cytaty z dzieł Ojców Kościoła. Aby bowiem wzbudzić przekonanie, że prawda, którą podaje ten lub ów Ojciec Kościoła, jest rzeczywiście prawdą objawioną, żeby stworzyć dowód dogmatycznie ścisły, na to potrzeba przedewszystkiem przedstawić słuchaczom »*consensus patrum*«, jednomyślną zgodę Ojców; zdanie bowiem jednego lub kilku Ojców Kościoła nie będzie dowodem dogmatycznie pewnym. »*Consensus patrum*« zaś przedstawić w kazaniu nie można choćby dla

braku czasu. Cytowanie poszczególnych lub oderwanych zdań z pism Ojców Kościoła ma w kazaniach raczej znaczenie ozdoby lub przykładu niż właściwego dowodu. Sądzę nawet, że zwyczaj cytowania słów Ojców Kościoła jest zabytkiem dawnej mody »zdobienia« kazania cytatami z przeróżnych dzieł jako dowodami erudycyi mowcy. Tem bardziej niepotrzebne jest cytowanie zdań choćby słynnych teologów lub świeckich nawet wielkich ludzi, jeżeli chodzi o przeprowadzenie rzeczywistego dowodu swych słów. Tego rodzaju cytaty są co najwyżej ozdobą i chyba w konferencyach przed zamkniętem audytoryum mają niejaką racyę bytu.

Aby cytat Pisma św. lub dekretu papieża czy Kościoła w kazaniu miał rzeczywiście siłę dowodu, nie wystarczy zwyczajnie zacytować samych słów, ani nawet te słowa wyjaśnić. Ludzie nie rozumią zwyczajnie, jakie znaczenie mają dogmatyczne definicye Kościoła, a nawet słowa Pisma św. Słyszą je często na ambonie, ale uważają je raczej jako upiększenie, jako mądre, trafne zdanie, niż jako wyrok nieomylnej prawdy. Aby zatem te słowa miały dla audytoryum rzeczywiście znaczenie dowodu, musi kaznodzieja często p o d k r e ś l a ć t o i c h z n a c z e n i e; nie omieszka zatem przypomnieć czasem, że słowa, które głosi, nie są jego słowami, ale są słowem Bożem, nieomylnem, zawartem w Piśmie św., że prawdy, które teraz wygłosił, głosiły dosłownie w ten sposób usta Chrystusa Pana, który przecież jako Bóg-człowiek był nieomylnym. Powinien wskazać słuchaczom, że definicye Kościoła mają powagę nieomylności, bo przez nie przemawia Duch św., który kieruje Kościołem i nie dopuszcza, aby Kościół w nauczaniu prawd wiary

się mylił. W ten sposób uprzytomni słuchaczom, iż zdania i cytaty nie są jego własnymi wymysłami, ani też nie są tylko ozdobą, zdaniami ciekawemi lub przykładami, ale wymagają, by chrześcijanin poddał swój rozum pod ich powagę i ugiął przed nimi swą wolę. Nie potrzeba chyba dodawać, że cytaty, których używamy jako dowodów, powinny być prawdziwe, dokładne i należycie objaśnione.

Obok dowodów bezpośrednich musimy używać często dowodów pośrednich czyli t. zw. dyalektycznych. Nie zawsze możemy znaleść tę prawdę, którą przedstawiamy słuchaczom, bezpośrednio w Piśmie św. lub tradycyi, szczególnie wiele prawd moralnych, tyczących się szczegółów życia chrześcijańskiego musimy wyprowadzić z prawd objawionych jako konsekwencyę. Jeżeli n. p. chcę przekonać słuchacza, iż ma obowiązek zaniechać lektury złych książek, mogę to uczynić w następujący sposób: Przypomnę mu obowiązek unikania wszystkiego, co jest niebezpieczne dla zbawienia jego duszy; wykażę dalej, że czytanie bezpotrzebne złych książek jest takiem niebezpieczeństwem: z tych przesłanek wyprowadzam łatwo wniosek, że jest rzeczywistym obowiązkiem unikać bezpotrzebnej szkodliwej lektury. Tego rodzaju dowód przedstawia się jako syllogizm: jedna z powyższych przesłanek (»obowiązkiem jest unikać wszystkiego, co szkodzi zbawieniu«) opiera się na objawieniu; druga (»zła lektura jest dla duszy naszej szkodliwą«) opierać się może także na naturalnym rozumie lub doświadczeniu. Wniosek będzie dowodem, który opiera się wprawdzie na objawieniu, ale nie jest zawarty w niem bezpośrednio, tylko wyprowadzony zeń przez dedukcyę.

Wspomnieliśmy powyżej, iż pierwszorzędne dowody w kaznodziejstwie muszą opierać się na objawieniu bożem i dążyć do obudzenia w słuchaczach nadprzyrodzonego przekonania czyli wiary. Nie wynika jednak bynajmniej z tego, abyśmy z kazania usuwali zupełnie dowody z rozumu. Przedewszystkiem jest wiele prawd wiary tak natury dogmatycznej, jak i moralnej, które nie są tajemnicami, lecz są zupełnie a przynajmniej po części dostępne rozumowi ludzkiemu. Tak n. p. prawdy o istnieniu Boga, nieśmiertelności duszy, o życiu pozagrobowem są nie tylko prawdami wiary, ale także tezami filozofii. Tak samo potrzeba umiarkowania, piękność niektórych cnót, szkarada niektórych grzechów są to prawdy, do których poznania może dojść także rozum nieoświecony wiarą. Na dowodach z rozumu nie możemy wprawdzie opierać wyłącznie naszego przekonania religijnego, naszej wiary, ale możemy nimi przekonanie to ułatwić i ugruntować. Jeżeli n. p. przeciw niektórym prawdom wiary i moralności powstają zarzuty, zaczerpnięte niby z rozumu i doświadczenia, to będzie rzeczą bardzo pożądaną, jeżeli kaznodzieja potrafi tym zarzutom przeciwstawić przystępne i jasne dowody, zaczerpnięte na prawdę z rozumu lub doświadczenia życiowego. Dowody mają w tym wypadku zadanie usunąć pewne przeszkody, które zepsuta natura ludzka, zła wola lub nieświadomość stawiają głoszonym prawdom bożym. Mogą one usuwać te przeszkody bardzo skutecznie, a nawet zupełnie, przez co niesłychanie ułatwiają ugruntowanie prawdy. Te dowody dalej przemawiają bardzo często »*ad hominem*«, do natury człowieka, tworzą silne naturalne przekonanie tak, iż potem bardzo

łatwo przyjdzie przy pomocy dowodów z objawienia utworzyć równie silne nadprzyrodzone przekonanie czyli wiarę. Jeżeli n. p. udało się mowcy naturalnymi dowodami przekonać słuchacza o tem, iż potrzeba zachować umiarkowanie, to wówczas będzie mu nietrudno obudzić to samo nadprzyrodzone przekonanie, a zatem stworzyć podstawę do nadprzyrodzonego chrześcijańskiego życia. Zwłaszcza dowody w formie choćby niezupełnej indukcyi z dziedziny praktycznego życia są znakomitym »*argumentum ad hominem*« i chociaż logicznie niekoniecznie najsilniejsze, ułatwiają utworzenie silnego przekonania u ludzi.

Aby można używać dowodów w kazaniach z prawdziwą korzyścią dla słuchaczów, trzeba stosować się dalej do następujących prawideł:

1) Nie należy dowodzić wszystkiego. »*In rebus apertis argumentari tam est stultum quam in clarissimum solem mortale lumen inferre*« (Quint. Ins. orat. cap. 12). »Dowodzić rzeczy, które są same przez się jasne, jest tak nierozumne, jak świecić lampę w biały dzień«. Są pewne prawdy tak proste i tak znane słuchaczom, że nie potrzeba ich dowodzić. Są inne, które poruszamy w kazaniu tylko przygodnie. Gdybyśmy chcieli dowodzić tych wszystkich prawd, kazanie składałoby się z samych dowodów, stałoby się długie, nudne i niepraktyczne.

2) Nie gromadzić zbyt wielu dowodów dla jednej prawdy. Jeżeli bowiem nagromadzimy mnóstwo dowodów, to musimy je albo tylko naszkicować, a wtedy nie mają właściwej siły dowodowej dla słuchaczów, albo musielibyśmy przeciągać dowody w kazaniu w nieskończoność. Lepiej jest też jeden lub drugi dowód dokładnie objaśnić,

niż przytaczać całe mnóstwo różnych cytatów, których lud nie zrozumie i które go zupełnie nie przekonają. I w tym względzie nie możemy się wzorować na podręcznikach dogmatyki, które zbierają dla każdej prawdy całe legiony dowodów, lecz mieć zawsze na oku praktyczny cel kazania.

3) Nie dla każdej prawdy i nie wobec każdego audytoryum potrzeba tej samej ilości dowodów. Są prawdy, którym przynajmniej w zwyczajnych warunkach nikt nie przeczy i które nie są zbyt przykre lub obce dla słuchaczów. Takie prawdy obejdą się zupełnie bez dowodów, a przynajmniej nie wymagają wielu. Inne prawdy są same przez się trudne lub nieprzystępne, albo też mają w danych warunkach więcej i groźniejszych wrogów. Aby przekonać słuchaczów o takich prawdach, potrzeba więcej dowodów. W każdym razie, jeżeli przemawia się do słuchaczów wierzących, a takiem jest z reguły nasze audytoryum, nie powinno się używać tylu i takich dowodów, jakby się chciało przekonać niewierzących. Tego rodzaju postępowanie zdziwiłoby, a przytem i obraziło wierzących. Jeżeliby n. p. kapłan chciał mówić o Przenajśw. Sakramencie w ten sposób, jakby chciał nawrócić innowierców, którzy przeczą temu dogmatowi, obraziłby z pewnością znaczną część swego audytoryum. Dowody, które kaznodzieja przedstawia swoim słuchaczom, powinien ubrać w taką formę, jakoby chciał przekonanie słuchaczów jedynie utrwalić, ugruntować, uzupełnić, a nie dopiero stworzyć.

4) Wobec tego, że mowca musi się ograniczać na małą ilość dowodów, powinien d o b i e r a ć d o w o d y logicznie najpewniejsze i psychologicznie najsilniej działające. W tym celu musi odrzucać

wszystkie dowody, któreby mogły wykazać co najwyżej prawdopodobieństwo, musi odrzucać wszystkie dowody słabe, niepewne i wątpliwe, a wybrać tylko te, które zupełnie i ściśle stwierdzają głoszoną prawdę. Także i między dowodami logicznie pewnymi, których możemy używać w dziełach naukowych, polemicznych, nie wszystkie nadają się do kazania. Musi kaznodzieja z pośród nich pominąć te wszystkie, które są dla słuchaczów zbyt trudne, niezrozumiałe, które wymagają dłuższych dedukcyi, zbyt natężonej uwagi słuchacza lub zbyt wielkich wiadomości z dziedziny teologii albo innych nauk. Tego rodzaju dowody, acz silne i pewne same w sobie, mają bardzo małą wartość wobec danego audytoryum. Musi więc kaznodzieja wybrać z nich tylko te, które są bardzo przystępne i silnie działają na dane audytoryum. Będą to między pierwszorzędnymi dowodami dowody bezpośrednie, a z drugorzędnych dowody z codziennego życia lub przykłady.

5) Aby być w stanie wybrać tego rodzaju dowody, musi mowca podczas przygotowania kazania zebrać sam dowody tak, by je mieć pod ręką, najlepiej na piśmie (choćby tylko naszkicowane słowem lub cytatem), przypatrzeć się im dobrze i z pomiędzy większej ilości wybrać tylko jeden lub drugi, który pod każdym względem nadaje się mu do kazania.

6) Najtrudniejszą rzeczą w kazaniu jest nadać wybranym dowodom odpowiednią formę. Jeżeli je przedstawimy w formie zbyt ścisłej, nabiorą kształtu syllogizmów naukowych, będą niejako jakby szkielet, który raczej przestraszy, niż pociągnie słuchaczów. Jeżeli znów przedstawimy

dowody w formie zbyt swobodnej, w takim razie utracą one należytą jasność i przejrzystość. Cała sztuka polega na tem, aby dowody zachowały swoją logiczną ścisłość, a przytem były podane w formie popularnej i przystępnej, tak, iżby nie raziły, nie przestraszały słuchaczów. Do tego potrzeba z jednej strony, iżby każdy dowód był rozprowadzony retorycznie a nietylko naszkicowany, z drugiej strony nie należy wplatać w dowody dłuższych refleksyi, ani zastosowań praktycznych, aby nie odwrócić uwagi słuchacza od »*vis argumentandi*« — siły dowodowej — która powinna go przekonać.

7) Jeżeli zestawiamy więcej dowodów — nie powinniśmy trzymać się pewnego, stałego szablonu, jaki widzimy w podręcznikach: n. p. dowody z Pisma św., dowody z tradycyi, dowody z rozumu, ale rozpoczynać raz od pierwszorzędnych, drugi raz od drugorzędnych stosownie do przedmiotu kazania. W ten sposób zyskamy też i to, że uwaga słuchaczów nie znuży się jak przy stałych, szablonowych formach dowodzenia. Na pytanie, czy silne dowody ma się umieszczać na początku czy na końcu — odpowiadamy, że na początku powinny iść silne dowody, dalej też silne a i na końcu nie słabe, bo wogóle w kazaniu dowody słabe są niedopuszczalne. Ze względów psychologicznych najlepiejby było umieszczać na końcu dowód najsilniejszy, najbardziej decydujący. Rozumie się, że sama logika wymaga, aby dowody następowały w kazaniu po objaśnieniu prawdy a przed praktycznemi aplikacyami. Jeżeli wkońcu musieliśmy w kazaniu przytoczyć dłuższy szereg dowodów, szczególniej trudniejszych, nie

będzie bez pożytku, wkońcu zrekapitulować krótko i zwięźle najważniejsze dowody tak, aby one lepiej utkwiły w pamięci i przekonaniu słuchacza.

Nasuwa się wkońcu pytanie, czy dla ugruntowania przekonania religijnego wystarczy pozytywnie udowodnić prawdę, o której kaznodzieja mówi, czy też potrzeba wprost zbijać zarzuty, jakie powstają przeciw danej prawdzie? Bardzo często niepotrzebne jest osobne zbijanie takich zarzutów. Jeżeli chodzi o prawdę, o której łatwo można słuchacza przekonać, wystarczy bardzo często przedstawić jasno i popularnie daną prawdę i poprzeć ją pozytywnymi dowodami. Jeżeli jednak przekonanie słuchacza co do danej prawdy natrafia na więcej i to poważniejszych przeszkód, kaznodzieja nieraz będzie zmuszony dla ugruntowania prawdy zbijać przynajmniej najważniejsze zarzuty. Co do zbijania zarzutów zwróciłbym uwagę na następujące prawidła:

1) Jeżeli przemawiamy do prostego a wierzącego ludu, musimy sobie zdać sprawę, że na najwięcej trudności i zarzutów natrafiają nie prawdy teoretyczne, ale raczej zasady praktyczne, etyczne. Praktyczne błędy i przesądy, nawyczki i nałogi stawiają kaznodziei znacznie większy opór, niż zboczenia rozumu lub fałszywe teorye. Dlatego też znacznie częściej będzie musiał kaznodzieja zbijać zarzuty zaczerpnięte z praktycznego życia lub doświadczenia, niż zarzuty natury ściśle teoretycznej.

2) Praktyczny kaznodzieja uwzględni w swojem kazaniu nie wszystkie zarzuty, które możemy postawić przeciw danej prawdzie, albo które *de facto* kiedyś powstały. Historya Kościoła uczy nas,

że niemal niema prawdy objawionej, którejby gdzieś lub kiedyś w różnoraki sposób nie przeczono. Dlatego też podręczniki teologiczne lub dzieła polemiczne uwzględniają nieraz znaczną ilość przeróżnych zarzutów przeciwko prawdom objawionym. Ale kaznodzieja, który mówi w pewnym czasie, w pewnem miejscu i wobec pewnego audytoryum nie ma obowiązku rozprawiać się z tymi wszystkimi, nieraz dawno już przebrzmiałymi zarzutami, ale musi skoncentrować swoją uwagę i pracę na te zarzuty, które jego audytoryum zna lub pozna w niedługim czasie. Tylko tego rodzaju zarzuty mają dla jego słuchaczów znaczenie praktyczne i tylko one powinny być uwzględnione i usunięte.

3) Nawet wobec przeciwnika powinno się być lojalnym. Dlatego też zarzuty powinno się stawiać tak, jak je przeciwnicy naprawdę formułują prosto, jasno i dobitnie. Powinno się w ten sposób postępować choćby z powodu, że w przeciwnym razie inteligentniejszy słuchacz mógłby sądzić, że kaznodzieja albo nie zna zarzutów przeciwnika albo też formułuje je umyślnie fałszywie. Nie potrzeba jednak przedstawiać zarzutów zbyt szeroko ani też zbyt dobitnie, aby w myśli słuchacza nie wzbudzić zbyt silnej wątpliwości. W każdym razie musi kaznodzieja odeprzeć zarzut przynajmniej tak samo jasno, dobitnie i popularnie, jak go postawił. W przeciwnym razie zamiast ugruntować prawdę, osłabi ją, zamiast usunąć trudność — powiększy ją i pogłębi.

4) Bardzo często powstają zarzuty przeciwko prawdzie z niezrozumienia prawdy. Jeżeli

kaznodzieja wyjaśni w tym wypadku dokładnie t. zw. *status quaestionis,* jeżeli objaśni dobrze rzeczywiste znaczenie danej prawdy, to tem samem usunie nieraz najlepiej zarzut. Jeżeli ktoś n. p. przeciw nauce o nieomylności papieża wywleka różne grzechy i upadki moralne papieży lub ich błędy polityczne, to wystarczy przypomnieć dokładnie, czem jest właściwa nieomylność papieska, a zarzut upada sam ze siebie. Często trzeba dojść do źródła zarzutu, wykazać jego błędne podstawy, a wówczas, jeżeli podkopiemy fundament — runie budynek. Bardzo trafną okazuje się nieraz w tym wypadku t. zw. *deductio ad absurdum.* Jeżeli kaznodzieja wykaże, iż zarzut, który przeciwnicy stawiają objawionej prawdzie, doprowadza koniecznie do niemożliwych lub szkodliwych konsekwencyi, wówczas łatwo mu wykazać, iż tego rodzaju zarzut jest nierozsądny i szkodliwy.

5) Bardzo często nie zawiera zarzut wyłącznie fałszu, ale obok nieprawdy także i ziarno prawdy. Takich zarzutów nie można odeprzeć wyłącznie przecząc im, albowiem odrzucając fałsz, odrzucalibyśmy i prawdę w nich zawartą. Wobec nich trzeba trzymać się starej maksymy: »*Qui bene distinguit, bene docet*«; innemi słowy należy rozdzielić w zarzucie prawdę od fałszu, przyznać mu słuszność w tem, w czem mu przyznać można, a uderzyć na to, co w nim jest wręcz nieprawdziwe, fałszywe. Bardzo często należałoby także zastosować dawne, scholastyczne »*transeat*« t. zn. wskazać, że zarzut nie jest właściwie zarzutem, że to, co przeciwnik przedstawia nie jest w rzeczy samej przeciwne prawdzie objawionej,

6) Wrogowie prawdy wojują często w braku

argumentów szyderstwem, potwarzą, pogardą. Tego rodzaju broni nie godzi się używać. Nie wolno zwalczać przeciwnika pogardą ani nawet zbywać go żartami dla powagi świętego miejsca. Nawet niechęć i oburzenie okazywać można tylko wobec wyraźnych dowodów złej woli. Kto dowodzi spokojnie, bez unoszenia się, ten okazuje tem samem, że broni pewnej prawdy, kto zamiast dowodów unosi się i porywa na przeciwnika, ten okazuje tem samem, że broni straconej pozycyi.

7) W zbijaniu zarzutów należy unikać, jak w ogóle w kazaniach, monotonii i szablonu. Nie należy powtarzać ciągle tych samych formuł: »nasuwa się zarzut«, »słyszeliście prawdopodobnie«, »może wam wiadomo« i t. p., lecz przedstawiać zarzuty w rozmaity sposób. Nie jest nawet rzeczą konieczną, by zbijanie zarzutów następowało po dowodach prawdy. Owszem będzie nieraz nie od rzeczy rozpocząć od zbijania zarzutów. Szczególnie wówczas należy użyć tej metody, jeżeli zarzut jakiś jest bardzo powszechny tak, że trudno liczyć na to, że się przekona słuchacza o prawdzie, póki się nie usunie tej przeszkody. Tak n. p. jeżeli mówimy o potrzebie święcenia niedzieli, to szczególniej w miastach nie będzie od rzeczy rozpocząć od znanego zarzutu, że święcenie niedzieli szkodzi materyalnie i moralnie jednostkom i społeczeństwu. Jeżeli usuniemy w ten sposób przeszkodę, to możemy bardzo łatwo pozytywnym argumentem obudzić nadprzyrodzone przekonanie, wiarę.

8) Historya kaznodziejstwa uczy, że szczególniej w czasach, kiedy powstawały ważniejsze herezye wchodziły w zwyczaj t. zw. kazania polemiczne, poświęcone walce z herezyą, szcze-

gólnie zaś zbijaniu zarzutów, które innowiercy stawiali wierze. Czy tego rodzaju kazania są potrzebne, zależy od okoliczności, w których kaznodzieja głosi naukę. Na ogół biorąc są one wobec wierzącego ludu i w krajach o ludności pod względem wiary jednolitej nie bardzo praktyczne i powinny należeć chyba do bardzo rzadkich wyjątków.

W teoryi przyzna każdy łatwo, że dowody są w kazaniu potrzebne. Jeżeli jednak rozglądniemy się w literaturze kaznodziejskiej i przysłuchamy się wielu kazaniom, to musimy z przykrością przyznać, że w praktyce niełatwo znaleźć kazanie, któreby w jasny, popularny i praktyczny sposób działało na przekonanie słuchacza, dostarczając mu odpowiednych dowodów. Jungmann (»Geistliche Beredsamkeit« — 4. w. nr. 149.) ma zupełną słuszność, gdy twierdzi, że większa część kazań składa się raczej z refleksyi, patetycznych ekspektoracyi i apelowania do uczucia słuchacza, niż z porządnie i logicznie ułożonego szeregu myśli i dowodów. Nie brak w tych kazaniach nieraz cytatów z Pisma św. lub z Ojców Kościoła, ale te cytaty zestawione bez planu i nie objaśnione należycie, nie są w stanie wyrobić naprawdę przekonania religijnego w słuchaczach. Nawet kazania bardzo głośnych i uwielbianych mowców wykazują nieraz niesłychany brak logicznych i porządnych dowodów. Jungmann dopatruje się przyczyn tego niewesołego zjawiska przedewszystkiem w braku porządnego dyalektycznego wyszkolenia kaznodziei. Szkoła nie daje zwyczajnie przyszłemu kaznodziei sposobności do wykształcenia się należytego w filozofii, szczególniej w dyalektyce, a i studya teologiczne uwzglę-

dniają niestety zbyt mało filozofię, szczególniej formalną logikę. Lektura książek nawet naukowych nie usuwa tego braku, tem bardziej, że większość książek grzeszy niesłychanie brakiem logiki. Prym w tym względzie dzierżą niestety bardzo często książki ascetyczne, których autorowie nie zadają sobie prawie nigdy trudu, by swe twierdzenia poprzeć pewnymi, jasnymi dowodami [1]). Ta wada udziela się naturalnie drukowanym i głoszonym kazaniom. W końcu nie da się zaprzeczyć, że niejeden kaznodzieja nie potrafi przeprowadzić w swem kazaniu porządnego dowodu, gdyż nie ma czasu lub chęci na sumienne wypracowanie kazania. O ile bowiem łatwem jest wypisać z podręcznika nawet cały szereg cytatów, stanowiących niby dowód w kazaniu, o tyle trudnem jest przeprowadzić pewny, jasny i przystępny dla audytoryum dowód w ten sposób, by na prawdę uzyskać silne przekonanie religijne słuchaczów. Kaznodzieje zaś obdarzeni bujną fantazyą i dobrą swadą wolą zwykle puszczać się na flukta uczuciowych deklamacyi i patosu, niż podjąć się żmudnej, a na oko niewdzięcznej pracy wyrabiania dobrych dowodów. Mogą oni swemi kazaniami wzruszać do łez słuchaczów, a szczególniej słuchaczki, mogą pobudzać wyobraźnię, czy jednak potrafią obudzić i pogłębić prawdziwe, trwałe życie religijne, chrześcijańskie, nie trudno chyba rozstrzygnąć.

[1]) Chlubny wyjątek stanowią dzieła ascetyczne wielkich teologów, jak św. Tomasza, Bonawentury, Bellarmina i innych. Jako system ascetyki jest pod tym względem może najbardziej polecenia godnem znane dzieło »Direttorio ascetico« Scaramelli'ego.

VI.

PODOBIEŃSTWO I PRZYKŁAD W WYMOWIE KOŚCIELNEJ.

Niema chyba podręcznika retoryki, homiletyki lub katechetyki, któryby nie zalecał mowcy, szczególniej mowcy głoszącemu popularne nauki (a takim jest każdy kaznodzieja i katecheta) używania porównań i przykładów. Fakt to tak ogólny, że zbytecznem byłoby go dowodzić. Raczej zastanowimy się, dlaczego przykłady i podobieństwa (analogie, porównania) są rzeczywiście środkiem wprost koniecznym, by głosić popularne, zrozumiałe i praktyczne kazania i w jaki sposób możemy tych środków używać.

Podobieństwo[1]) i przykład mają swą racyę bytu w kazaniach przedewszystkiem z przyczyny, że tak powiem, taktycznej. Wiadomo, jak ważnem jest dla kaznodziei wzbudzić i utrzymać zainteresowanie i uwagę swych słuchaczów. Niema

[1]) Podobieństwo (analogia) dwóch rzeczy polega na tem, iż te rzeczy, aczkolwiek różne, posiadają jedną lub więcej cech wspólnych. »*Similitudo est rerum differentium eadem qualitas*«, uczą scholastycy.

zaś chyba środka, któryby łatwiej osiągnął ten cel, jak trafne porównanie, a szczególniej jak ciekawy, piękny przykład. Ilekroć mowca rozpocznie opowiadać jaki przykład, jakieś konkretne zdarzenie, tylekroć znajdzie chętne i uważne audytoryum. Ilekroć zauważy, że dzieci w szkole czy dorośli w kościele okazują znużenie lub roztargnienie, niech tylko ucieknie się do opowiadania, przykładu, a oczy i uszy słuchaczów zwrócą się ku niemu ciekawie, znużenie i roztargnienie ustąpią miejsca zainteresowaniu i uwadze. Stąd też pochodzi, że prosty lud, a nawet inteligencya słucha chętnie mowców, którzy umieją używać przykładów i analogii. Wiadomo też, że nic nie pozostaje tak łatwo i tak trwale w pamięci słuchacza, jak trafne porównanie lub ciekawy przykład: nieraz uleci wszystko inne, a pozostanie tylko wspomnienie zasłyszanego przykładu.

Dlaczego budzą przykłady i podobieństwa takie zainteresowanie? Dlaczego podobają się ogólnie słuchaczom i pozostają tak wiernie w ich pamięci? Aby wyjaśnić ten fakt, a zarazem by wskazać na główny, istotny powód, który nas powinien skłonić do używania przykładów i porównań w kazaniach i katechezach, musimy przypomnieć dwa prawidła psychologiczne, odnoszące się do naszego poznania. Przedewszystkiem wiemy, iż poznanie nasze rozpoczyna się od poznania zapomocą zmysłów i to rzeczy zmysłowych [1]): istoty nadzmysłowe, duchowe (jak Boga, anioła, duszę ludzką) i abstrakcyjne poznajemy nie bezpośrednio lecz pośrednio (n. p. ze skutków) i to nie możemy doprowadzić do »wła-

---

[1]) »*Omnis cognitio incipit a sensibus*«.

ściwych« wyobrażeń tych rzeczy, tylko do »analogicznych«. N. p. dochodzimy do poznania przymiotów Boskich z poznania tego świata i jego stosunku do Boga, a same przymioty przedstawiamy sobie na podobieństwo przymiotów ludzkich, a więc analogicznie, niewłaściwie: »Teraz widzimy przez zwierciadło i przez podobieństwo« (I. Cor. XIII. 12.). Z drugiej strony jest rzeczą stwierdzoną, że nasze myślenie, choć organem jego nie są zmysły, lecz dusza, nie może się obejść bez odpowiednich obrazów fantazyi. Ilekroć myślimy o rzeczach abstrakcyjnych, nadzmysłowych, tylekroć ubieramy te pojęcia w zmysłową szatę wyobrażeń. Tak n. p. gdy tworzę sobie pojęcie anioła, to choć wiem, że jest on duchem bezcielesnym, powstaje w mej wyobraźni taki obraz, jak go sztuka chrześcijańska zwykła przedstawiać. Ta właściwość naszego myślenia (która pochodzi z najściślejszego związku duszy z ciałem i jego organami) odbiła się nawet w mowie. Tak n. p. wyraz »duch« lub »dusza« ma w wielu językach ten sam źródłosłów, co »oddech«, »tchnąć«. Dlatego też ilekroć naszym myślom towarzyszą żywe obrazy fantazyi, tyle razy same pojęcia stają się żywsze, wyraźniejsze, dokładniejsze, ilekroć zaś brak nam tych obrazów, tylekroć nasze pojęcia są blade i niewyraźne. Szczególniej u ludzi niewyszkolonych w myśleniu o rzeczach nadzmysłowych i abstrakcyjnych, a więc u dzieci i u prostaczków jest ta zależność pojęć od wyobrażeń bardzo silna.

Z tych prawideł wynika, że jeżeli mowca chce u swoich słuchaczów urobić pojęcia prawd nadzmysłowych i to pojęcia trafne, jasne, wyraźne; jeżeli chce ich skłonić do myślenia o prawdach

abstrakcyjnych, musi do tego dojść w ten sposób, iż przez trafne analogie, porównania uczyni im te prawdy zrozumiałemi i przystępnemi. Musi dalej posługiwać się porównaniami ze świata widzialnego i konkretnymi przykładami, by te pojęcia nie były zbyt bladem i niewyraźnemi, lecz by żywo i jasno stanęły niejako przed oczyma słuchacza, wniknęły w jego pamięć, zajęły wyobraźnię, a tak dopiero stały się trwałą własnością jego rozumu. Unaocznienie, uzmysłowienie pojęć nadzmysłowych, których tak wiele musimy tworzyć w kazaniu i katechezie, jest wprost nieodzownym środkiem, by słuchacze mogli korzystać z naszych nauk. Św. Alfons twierdzi słusznie, że jak rolnik, który nie uprawi roli, nie może się spodziewać plonu, tak też i kaznodzieja, który nie umie zużytkować porównań i przykładów w swych naukach, nie może liczyć na to, by jego nauki wywarły jakikolwiek wpływ na słuchaczów.

Dlatego też człowiek, który chce cośkolwiek drugiemu dobrze wytłumaczyć, używa tak chętnie porównań i przykładów, choćby się nie uczył retoryki ni psychologii. Dlatego też wielcy, prawdziwie popularni kaznodzieje, jak n. p. św. Jan Chryzostom, szafowali tak hojnie porównaniami i przykładami. Dlatego też największy znawca duszy ludzkiej i najwyższy wzór wszelkiej wymowy religijnej, Zbawiciel, uczy tak chętnie w przypowieściach i używa tak trafnych i cudnych porównań. Im prostsze ma przed sobą audytoryum, im trudniejszych prawd naucza, tem chętniej ubiera je w uroczą formę przypowieści, by je uczynić zrozumiałemi i przystępnemi dla maluczkich, a i wobec uczonych w Piśmie nie pomija tego środka, który

miał uprzystępnić i uzmysłowić jego boską, dla rozumu ludzkiego tak nieraz trudną naukę. Tej właśnie potrzebie uprzystępnienia i uzmysłowienia nauki Chrystusowej zawdzięczamy cały szereg przepięknych przypowieści (paraboł) Zbawiciela.

Przykład ilustruje każdą teoryę, przedstawia prawidła etyczne w konkretnej formie rzeczywistego zdarzenia, jest zatem również znakomitym środkiem uzmysłowienia prawdy. Prócz tego przykład, jak wiadomo, zachęca do naśladowania i pociąga, względnie odstrasza. Tam, gdzie nie pomogą długie wywody teoretyczne, wystarczy nieraz jeden lub drugi żywy przykład. Nawet jako dowód może się on przydać w kazaniu. Nie jest on zwykle dowodem logicznie bardzo pewnym i dlatego nie należy przykładów używać jako głównych, ani tem mniej jako jedynych argumentów, przemawia jednak znakomicie jako »*argumentum ad hominem*«, szczególniej do prostego ludu. Już starożytni retorowie zauważyli, że dowód z szeregu przykładów, a więc indukcya, choćby nawet niezupełna, ma w wymowie wielkie znaczenie jako popularny i zrozumiały argument.

Jakich prawideł należy się trzymać w używaniu podobieństw i przykładów w kazaniu lub katechezie. Jeżeli chodzi o podobieństwa (analogie), któremi objaśniamy i uzmysławiamy jakąś prawdę, to muszą być one przedewszystkiem prawdziwe. Między prawdą głoszoną, a rzeczą, którą z nią porównujemy, musi zachodzić rzeczywista analogia, musi istnieć rzeczywiste »*tertium comparationis*«. W przeciwnym razie wytworzy takie porównanie w słuchaczu fałszywe, a przynajmniej niedokładne pojęcie prawdy. Stąd jeżeli chodzi

o pewne prawdy wiary, dla których trudno lub niepodobna znaleść trafnych analogii w naturze (n. p. troistość osób, a jedna natura w Bogu), lepiej jest zrezygnować z tego środka uzmysłowienia prawdy, niż wykrzywić ją przez fałszywe analogie. Tak samo niebezpiecznem jest tworzyć podobieństwa i analogie w kazaniu bez przygotowania, na poczekaniu. Łatwo się może bowiem zdarzyć, że w danej chwili nie wpadnie nam na myśl trafne porównanie i użyjemy analogii, która nam się na razie wydaje odpowiedną, a która w rzeczy samej może być błędną. Jeżeli podobieństwo ma dalej naprawdę objaśnić jakieś zdanie i ułatwić jego zrozumienie, to musi być proste, niewyszukane i łatwo zrozumiałe, w każdym razie dostępniejsze dla rozumu słuchacza, niż ta prawda, którą ma objaśnić. »*Debet, quod illustrandae alterius rei gratia assumitur, ipsum esse clarius eo, quod illuminat*«, uczy słusznie Kwintylian. Dlatego powinno się szukać porównań i analogii w sferze pojęć znanych i dostępnych słuchaczowi. Wobec prostego ludu nie należy zatem używać analogii, zaczerpniętych z życia wykształconych sfer, porównań, które mogą być bardzo zrozumiałe uczonym, lecz są zupełnie obce i zagadkowe dla niewykształconego. Porównania zaczerpnięte z życia i obyczajów obcych ludów lub dawnych czasów mniej są zrozumiałe, a nieraz zupełnie obce naszemu audytoryum, dlatego nie należy ich używać. Stąd to nie zawsze porównania wzięte z dawnych lub obcych kaznodziei i pisarzów, choć bardzo trafne dla innego audytoryum, będą odpowiedne dla naszego ludu. Słuszną uwagę robi Alban Stolz, że nawet porównania zaczerpnięte z Pisma św. nie są zawsze odpowiedne w kazaniach

do ludu. Wielu z tych analogii, zaczerpniętych z życia ludu wschodniego, żyjącego w zupełnie innych warunkach religijnych, politycznych, ekonomicznych lud nasz nie zrozumie, n. p. porównania z życia żeglarzy, porównania, w których jest wzmianka o faunie i florze palestyńskiej, o ówczesnych stosunkach państwowych, społecznych, towarzyskich są wprawdzie dla ludzi obytych ze sposobem wyrażania się ksiąg świętych bardzo jasne, ale są niezrozumiałe dla prostaczków, a nawet dla świeckiej inteligencyi. Najbardziej zrozumiałemi i przystępnemi będą dla ludu wiejskiego porównania z życia rolników, dla miejskiego analogie z codziennego życia domowego, z warsztatu lub fabryki, dla dzieci porównania z życia szkolnego. Jak każde słowo, które wypowie kaznodzieja na ambonie, musi odpowiadać powadze świętego miejsca i świętej nauki, którą głosi, tak też i porównania, jakich używa, muszą być poważne, przyzwoite, estetyczne. Choćby porównanie było najtrafniejsze i najpopularniejsze, nie godzi go się używać w kazaniu, jeżeli jest trywialne, drastyczne, nieprzyzwoite, a choćby tylko komiczne. Nawet mowcy świeckiemu radzi Cicero unikać trywialnych porównań: »*fugienda est omnis tarpitudo earum rerum, ad quas eorum animos qui audiunt, trahet similitudo*« (Cic. De orat. 3. c. 41)., cóż dopiero posłannikowi Bożemu na miejscu świętem. W tym względzie nie możemy się powoływać na wzory dawniejszych mowców, nawet najlepszych kaznodziei. W czasach mniejszej cywilizacyi i grubszych obyczajów uchodziło wiele na ambonie, co dziś sprawiłoby zgorszenie. Wszak nawet Pismo św. porównuje odstępcę z »psem, który powraca do zwrócenia swego« i »ze świnią umytą«,

która wraca do »kałuży błota« (II. Pet. II. 22.), a przecież tego porównania (mimo że trafne i przystępne) nie użyłby dziś chyba żaden kaznodzieja!

Jeżeli wkońcu porównanie nie jest zupełnie jasne, przynajmniej dla niewykształconego audytoryum, to powinno się je wyjaśnić, wskazując krótko na »*tertium comparationis*«, podobnie jak to czynił sam Chrystus, gdy wyjaśniał uczniom znaczenie niektórych, trudniejszych parabol. Wyjaśnienie to musi być krótkie i zwięzłe. Gdyby porównanie wymagało dłuższych explikacyi, to lepiej go zaniechać: widocznie nie jest dość trafne, a przynajmniej dość przystępne dla danego audytoryum.

Przykłady, które przytaczamy w naszych naukach, muszą być prawdziwe, a przynajmniej psychologicznie możliwe i prawdopodobne. Jeżeli przykład ma służyć jako dowód w kazaniu, musi być historycznie prawdziwym i pewnym. Przykłady zmyślone lub niepewne nie mogą być rękojmią prawdy, nie mogą ugruntować przekonania, któreby było nie tylko subjektywnie, ale i objektywnie pewnem. Używać takich przykładów (n. p. w formie legend lub objawień prywatnych) jako dowodów, znaczyłoby fałszować objawioną prawdę, a przynajmniej opierać ją nie na niewzruszonej opoce, ale na lotnym i niepewnym gruncie piaszczystym. Jeżeli przykład ma być tylko ilustracyą prawdy, może być niepewnym, a nawet zmyślonym, byleby był przynajmniej prawdopodobnym i psychologicznie prawdziwym. Nie wiemy n. p., czy Chrystus przedstawił nam w paraboli o faryzeuszu i celniku lub o bogaczu i Łazarzu rzeczywiste, czy też zmyślone zdarzenie, a jednak obie te przypowieści ilustrują przecudnie prawdy, które Jezus przez nie

przedstawił. Przyznaję jednak, że i dla samej ilustracyi prawdy lepiej jest używać tylko przykładów prawdziwych. Z jednej strony stanowią one zawsze silniejszy motyw do naśladowania, z drugiej strony słuchacze nie dochodzą zwykle tego, w jakim celu przytoczył mowca przykład, lecz biorą wszystko bez różnicy, co usłyszą na kazaniu, za prawdę głoszoną przez kaznodzieję; a więc i zmyślony przykład, który miał być tylko ilustracyą prawdy, przyjmą tak samo, jak gdyby był dowodem lub samą prawdą. Jeżeli już kaznodzieja lub katecheta chce wpleść w swą naukę niepewne lub zmyślone zdarzenie jako przykład, uczyni najpoprawniej, gdy zwróci roztropnie i taktownie uwagę swego audytoryum, że to zdarzenie jest tylko legendą, podaniem lub faktem niestwierdzonym. Podobnie jak analogie, tak i przykłady muszą być dostosowane do świętości miejsca i nauki, a zatem przyzwoite i poważne. Humoreski, anegdotki, choćby najpopularniejsze i najprzystępniejsze, lub opowiadania zdarzeń wstrętnych i drastycznych nie powinny istnieć w kazaniu. Swoją drogą zbytnia pruderya, szczególniej wobec audytoryum złożonego wyłącznie z ludzi dorosłych (n. p. podczas niektórych rekolekcyi lub misyi) jest również nie na miejscu. Powinno się dalej używać przykładów blizkich danemu audytoryum. Podobnie jak porównania, tak i przykłady zaczerpnięte z czasów, miejsc, warunków obcych naszemu ludowi są mu mniej zrozumiałe, mniej przystępne i mniej pociągają do naśladowania. Dlatego jest rzeczą ważną, by obok zawsze pięknych i blizkich przykładów z Pisma św. przedstawiać przykłady z nowszych czasów, obok przykładów z życia Świętych obrazy z życia co-

dziennego, obok przykładów z życia cudzoziemców zdarzenia z życia Świętych lub wielkich ludzi własnego narodu. Takie bliższe umysłowi i sercu słuchacza przykłady są zwykle zrozumialsze, a »blizki a domowy przykład krwi twojej«, jak mówi Skarga »prędzej cię poruszy ku naśladowaniu cnót«.

Aby przykład nie był nudnym, a więc nie przestał budzić uwagi i zainteresowania słuchacza, nie powinien być zbyt dobrze znanym i oklepanym. Jeżeli zaś musimy się nieraz powołać na przykład, który słuchacze nasi dobrze znają, to wówczas niema potrzeby rozprowadzać go obszernie, lecz starczy zupełnie naszkicować go krótko lub tylko wskazać na niego.

Jeżeli przykład ma być dalej istotnie uzmysłowieniem prawdy, wymaga nieraz objaśnienia. Wprawdzie przykłady bardzo proste i trafne powinny być zrozumiane same przez się, a więc bez dalszych wyjaśnień, ale doświadczenie uczy, że wobec audytoryum b. prostego (n. p. w katechezie w najniższych klasach) musimy omawiać i tłumaczyć nawet najprostsze przykłady. Jeżeli tego zaniechamy, to nasi słuchacze wysłuchają i spamiętają sobie przykład jako zdarzenie, historyjkę czy bajeczkę, ale do czego on zdąża i jaką prawdę ma ilustrować, to pozostaje dla nich zagadką. Katecheci stwierdzają nieraz przy odpytywaniu lekcyi, że dzieci spamiętały doskonale przykład, ale nie mają pojęcia, do czego on właściwie w katechezie miał służyć, jaką prawdę objaśnić. Oczywiście to wyjaśnienie nie powinno być zbyt długie ani pedantyczne, by nie znudziło słuchaczów i nie odebrało przykładowi tego pewnego uroku, jaki posiada. Jeżeliby zaś przykład wyma-

gał długiego wyjaśnienia i tłumaczenia, to widocznie jest zbyt trudny i nieodpowiedni dla danego audytoryum.

Wkońcu nie powinno się dawać przykładów zbyt wiele, lecz w używaniu ich należy zachować pewną miarę. Taki mistrz popularnej wymowy jak Alban Stolz przestrzega przed nadużywaniem tego środka i żąda raczej pewnej oszczędności, niż zbytku w jego używaniu. Niektórzy »ludowi« kaznodzieje sądzą, że gdy nagromadzą w swem kazaniu znaczną ilość przykładów, to już tem samem stworzą dobre, popularne, praktyczne kazanie. Tak jednak nie jest. Sam przykład nie wystarczy zawsze nawet do objaśnienia prawdy, tem bardziej nie jest on ani głównym, ani jedynym dowodem w kazaniu. Jeżeli się zaś gromadzi w kazaniu zbyt wiele przykładów, to nie może się ich należycie wyjaśnić ni pogłębić, a zatem nie wyzyska się odpowiednio ich znaczenia. Lud słucha wprawdzie chętnie kazań, które są tylko zbiorem przykładów, szczególniej zaś obfitują w ciekawe powiastki i anegdoty, ale (jak to już wspominaliśmy) zapamięta sobie zwykle tylko treść tych opowiadań, a nie zrozumie, jaki związek mają one z głoszoną przez kaznodzieję prawdą. Tak zwana szkoła Monachijska uznaje za konieczną, by zwyczajnie oprzeć całą katechezę (a możnaby to czasem zrobić i z kazaniem) na jednym przykładzie i wyprowadzić z niego całe objaśnienie prawdy, a tylko w zastosowaniu (Nutzanwendung, Übung) dopuszcza więcej przykładów. To żądanie idzie może za daleko; ale to pewne, że więcej zdziała w kazaniu mała ilość przykładów dobrze wyjaśnionych i przystosowanych, niż wielka moc obrazów i opowiadań,

które kaznodzieja wplata bez porządku i bez objaśnienia w swe kazanie.

Skąd wreszcie czerpać przykłady i porównania. Najlepiej byłoby, by każdy kaznodzieja miał do swego użytku własny zbiór przykładów, opowiadań, porównań zebranych z książek lub z doświadczenia własnego i cudzego. W braku własnych zapisków możemy korzystać z cudzej pracy, z gotowych zbiorów przykładów i porównań. W literaturze niemieckiej ich nie brak: wspomnę tylko o najbardziej znanych jak Scherer (Exempellexikon), Schmidt (Historischer Kathechismus), Spirago (Beispiele zum kathol. Kathechismus). Dwa ostatnie dzieła zostały przełożone na język polski. W najnowszym czasie wyszedł I tom dzieła, zakrojonego na 5 tomów: »Przykłady ojczyste do nauki katechizmu« X. Józefa Makłowicza. Wobec tego, iż dzieło to jeszcze niekompletne, musimy się wstrzymać od wydania o nim ostatecznego sądu; w każdym razie zasługuje na uznanie myśl zestawienia z przeszłości i teraźniejszości naszego narodu przykładów nam bliższych, zrozumialszych i droższych, niż przykłady z życia ludzi obcych krwią, pochodzeniem i działających w obcem dla nas środowisku.

Nie zawadzi dodać w końcu, że w korzystaniu nawet z dobrych zbiorów przykładów, musi kaznodzieja być ostrożnym; nie powinien polegać ślepo na autorach, z których czerpie, lecz dbać zawsze o to, by wybierać z ich dzieł przykłady trafne, przyzwoite, zrozumiałe, a przedewszystkiem prawdziwe.

VII.

O WSTĘPIE DO KAZANIA.

Prawie każdy kaznodzieja odczuwa, jak trudno jest wypracować ze wszech miar odpowiedni wstęp do kazania. Od czego zacząć? Skąd zaczerpnąć myśli? Jak je ugrupować? Jak przejść ze wstępu do właściwego kazania? Oto pytania, które zapewne każdego z nas niejednokrotnie dręczyły i dręczą. Dlatego sądzę, że będzie nie od rzeczy zastanowić się nieco nad znaczeniem wstępu w kazaniu i nad sposobem wypracowania go.

Cel wstępu w kazaniu jest w teoryi bardzo prosty. Wstęp nie ma innego zadania jak przygotować słuchacza tak, by mógł z łatwością korzystać z nauk, które kaznodzieja przedstawi w kazaniu. Dlatego powinien zaznajomić słuchacza z przedmiotem, z celem i głównym podziałem treści kazania, a zarazem zainteresować go i pobudzić jego uwagę. Ażeby temu celowi podołać, musi być ściśle dostosowany do treści kazania i tworzyć z nim organiczną całość, a nie być doń tylko luźnie przyczepionym. Z tego wynika, że gdy przygotowujemy kazanie,

powinniśmy naprzód obmyśleć samo kazanie, a później dopiero starać się o dobranie doń odpowiedniego wstępu, a nie *vice versa*. Wstęp powinien być w kompozycyi kaznodziei niejako rezultatem kazania, a nie jego źródłem: powinien wypływać z kazania, a nie odwrotnie. Byłoby więc zupełnie błędnem komponować wpierw wstęp, a do niego »dorabiać« dopiero kazanie, jak to się niestety nierzadko dzieje.

Jeżeli wstęp ma stanowić z treścią kazania organiczną całość, a nie być tylko do niego sztucznie i czysto zewnętrznie dolepionym, to musi być d l a k a ż d e g o k a z a n i a o s o b n y, któryby tylko do niego się nadawał. Wstępy złożone z komunałów, które można od biedy dopasować do każdego kazania są nie tylko nudne, ale nie oryentują zupełnie słuchacza, nie wprowadzają go »*in medias res*«, bałamucą zamiast wyjaśniać i świadczą albo o wielkiem ubóstwie myśli kaznodziei, albo jeszcze częściej o marnem przygotowaniu.

Wobec tego, że wstęp ma być tylko oryentacyą dla słuchacza, powinien być k r ó t k i i p r o s t y. Jeżeli całe kazanie nie powinno być zbyt długiem, to nie godzi się, by przedsionek zajmował tyle miejsca, co budynek, by przygotowanie pożerało tyle czasu, co sam przedmiot. Każde słowo, każda myśl zbyteczna we wstępie jest szkodą dla treści kazania i dla zakończenia. Nie można oczywiście obliczyć matematycznie, jaki ma być stosunek wstępu do całości kazania, ale na ogół mówiąc wystarczy (wedle rady wybitnych homiletów), by obejmował 8-ą, a najwyżej 6-ą część kazania, t. zn. nie nad 4 do 5 minut. Krukowski (Teol. pasterska — kompendyum w. III. §. 60) twierdzi wprawdzie, że

»zbyt krótkie wstępy nie przysposabiają słuchaczy należycie«, ale sądzimy, że krótki, nawet bardzo krótki wstęp jest w każdym razie mniej szkodliwy, niż zbyt długie wodzenie słuchacza po przedsionku kazania, jeżeli zaś jest dobrze obmyślany, to przynajmniej w niektórych kazaniach może być zupełnie wystarczającym. Prostym i naturalnym jest wstęp wówczas, gdy kaznodzieja, świadomy przedmiotu i celu swego kazania, prowadzi doń najprostszą drogą swego słuchacza. Nic wstrętniejszego jak naciągane i sztuczne wstępy w kazaniu: skarżą się na nie wszyscy, a jednak należą one niestety do dość powszechnych błędów w kazaniach. Skąd pochodzi ta plaga? Niektórzy kaznodzieje nie umieją wprowadzić słuchaczów prostą drogą w treść kazania, bo sami nie są jej dość świadomi: brak dokładnego przygotowania odbija się fatalnie na niefortunnym i bałamutnym wstępie. Nie bez winy jest tu także pewien zwyczaj kaznodziejski, usankcyonowany niestety przez wielu homiletów. Kto domaga się tego, by kaznodzieja zawsze wyprowadzał swe kazanie z tekstu perykopy ewangelicznej, jak to czyni n. p. Krukowski l. c. lub (choć już ostrożniej) Krynicki (Wymowa Święta: cz. II. r. VI. n. 2. 1.), ten zniewala niejako kaznodzieję do tego, żeby jego wstęp do kazania był długi i naciągany. Jeżeli bowiem cel i przedmiot kazania nie zupełnie odpowiada treści perykopy, to nie pozostaje kaznodziei, który chciałby perykopę w jakiś sposób z kazaniem połączyć nic innego, jak budować sztuczny i niezgrabny pomost między jednem a drugiem w formie długiego i nienaturalnego wstępu. Wobec tego nie dziwimy się, że Krukowski twierdzi (l. c.), że jest wadą wstępu »zbyt mocno« naciągać: trochę

»naciągania« musi tolerować ten, który każe mowcy rozpoczynać zawsze lub zwyczajnie od perykopy ewangelicznej! Na obronę tego zwyczaju możnaby przytoczyć chyba to, że opierając każde kazanie na perykopie ewangelii zapoznajemy lud z treścią Pisma św., jak się tego domaga kościół na tylu Soborach. Ale marna to wymówka! Ażeby lud zapoznać naprawdę z Pismem świętem, należy głosić homilie, i to nie tylko na tle perykop ewangielicznych z Mszału, ale na tle całych ksiąg Pisma, jak to czynili Ojcowie Kościoła. W homiliach tylko mamy dość czasu, by każdą myśl Pisma ludowi wyłożyć i dostosować do jego potrzeb. Ale kto streści w kilku słowach ewangelię »z dnia« we wstępie do kazania, którego treść nie stoi w żadnym lub bardzo luźnym związku z nią, a sądzi że w ten sposób zapoznaje lud z Pismem świętem ten myli się zupełnie. Lud nie pozna treści ni myśli ewangelii, a kazanie dostaje wstęp, który nie tylko nie oryentuje słuchacza o jego treści, ale owszem bałamuci go. Szczególniej fatalnym jest ten zwyczaj, gdy kaznodzieja głosi przez dłuższy czas szereg kazań, pozostających ze sobą w ścisłym związku, n. p. szereg nauk katechetycznych [1]). Między perykopami ewangelii następujących po sobie niedziel niema zwykle ściślejszego związku (n. p. niedziele po Zielonych Świątkach). Jeżeli zatem kaznodzieja chce z jednej strony oprzeć każde ka-

[1]) Takie cykle kazań katechetycznych są nie tylko bardzo pożyteczne, ale wprost konieczne dla zapoznania ludu z całokształtem nauki objawionej. Stąd nic dziwnego, że w niektórych dyecezyach (n. p. w archidyecezyi lwowskiej) istnieje przepis, że w zwyczajne niedziele ma się głosić taki cykl nauk katechizmowych (dydaskalicznych).

zanie na tekście perykopy ewangelicznej, a z drugiej pragnie, by każde kazanie było w ścisłej łączności z poprzednimi i następnymi, to musi wprost tworzyć »naciągane«, sztuczne wstępy.

Wstęp kazania powinien być dalej skromny. Wszelkie reklamowanie i zachwalanie przedmiotu kazania, a tem bardziej bodaj uboczne polecanie swej osoby razi i odpycha słuchacza, szczególnie, gdy po wiele obiecującym wstępie następuje słabe i marne kazanie: dobra rzecz powinna się sama chwalić. Co najwyżej można czasem zwrócić uwagę słuchaczów, jak ważną i doniosłą dla nich jest prawda, o której ma kaznodzieja mówić; gdyby się w każdem kazaniu tak postępowało, to słuchacze przyzwyczailiby się zbytecznie do tego środka i przestałby na nich skutecznie działać. Nawet w tonie mowcy powinna przebijać skromność i prostota. »*Frequentissime vero proemium decebit et sententiarum et compositionis et vocis et vultus modestia*«, żąda Kwintylian nawet od świeckiego retora, tem bardziej powinien się starać kaznodzieja ująć prostotą i skromnością słuchacza. Oczywiście nie zaleca się bynajmniej kaznodziei jakiejś fałszywej skromności lub uniżoności wobec swego audytoryum. Kaznodzieja, któryby we wstępie chciał się niejako exkuzować, że ośmiela się zabierać głos, ośmieszyłby się i podkopałby swą powagę. Kapłan, który ma swą misyę kanoniczną do głoszenia słowa Bożego, nie potrzebuje prosić słuchaczów o pozwolenie, by mógł im głosić prawdy objawione.

Retoryka, a za jej przykładem homiletyka rozróżnia trojaki wstęp mowy: prosty, uroczysty, świetny *(exordium simplex, solemne, insinuans)*, stosownie do przedmiotu mowy i do nastroju chwili,

w której mowca występuje. Nie da się zaprzeczyć, że może być w kościele w wyjątkowych wypadkach rzeczywiście od razu podnioślejszy nastrój bądź to radosny (n. p. wizyta lub konsekracya biskupa, prymicye, sekundycye, pierwsza komunia dzieci, wielkie święto), bądź smutny (pogrzeb, klęska publiczna). W tych wyjątkowych wypadkach może mowca od razu uderzyć w ton uroczysty, patetyczniejszy i znajdzie oddźwięk w sercach słuchaczów. Zwyczajnie jednak powinien być wstęp prosty, wolny od patosu. Zwykle lud nie wie, o czem kaznodzieja będzie mówił, nie jest bynajmniej górnie nastrojony, jego rozum i uczucie to jeszcze »*tabula rasa*«. Jeżeliby kaznodzieja zaczął od słów górnych, patetycznych, jeżeliby w jego tonie przebijało zbyt silnie osobiste (choćby rzeczywiście przedmiotem kazania nastrojone) uczucie, to słuchacze nie zrozumieją, dlaczego mają być wzruszeni i nie dadzą się poruszyć. Jeżeli zaś patos wystąpi od razu zbyt gwałtownie, to może zmrozić, a co gorsza nawet rozśmieszyć nieprzygotowane na to audytoryum. Spokojne, rzeczowe wprowadzenie w przedmiot kazania, a nie budzenie uczuć słuchacza, jest celem wstępu.

Z powyższych uwag nie wynika bynajmniej, by wstęp miał być suchy, nudny, pedantyczny i wygłoszony zimnym, obojętnym głosem. Owszem, ma on być zajmującym, ma zainteresować słuchacza; dlatego nawet sposób wygłoszenia powinien na to wskazywać, że sam mowca zajmuje się i przejmuje tem, co ma wygłosić. Musi więc mowca wybrać ton mowy pośredni między zimnem wyrecytowaniem obojętnych frazesów, a patetyczną przemową.

Skąd czerpać myśli, potrzebne do wstępu (jakie są, źródła wstępu), to pytanie nasuwa się znowu. Najlepszy jest wstęp t. zw. *ex visceribus causae,* to znaczy z istoty samej rzeczy. Będzie to często wskazówka, że przedmiot, o którym mamy mówić, jest na czasie, jest potrzebny, konieczny, trudny i t. d. Bardzo zajmującym bywa wstęp t. zw. »*ab illustratione*«; jeżeli mowca rozpoczyna od opowiadania, obrazu, porównania, które potem służy jako tło kazania. W ten sposób można szczególniej z korzyścią rozpoczynać katechezy, zwłaszcza na niższym stopniu nauczania. Tym obrazem, od którego rozpoczynamy wstęp, może być czasem parafraza całego odczytanego ustępu ewangelii, lub jakiejś części tej perykopy, ale tylko wówczas, gdy rzeczywiście odpowiada przedmiotowi i celowi kazania. Kazania, które są w łączności z rokiem kościelnym, n. p. kazania na większe święta, tudzież kazania na pewne specyalne uroczystości (n. p. prymicye, poświęcenie kościoła) rozpoczynamy często »*ab adiunctis*«, to znaczy zwracamy uwagę na dzień lub okoliczności, w których mówimy. Nie należy jednak w tych wypadkach rozpoczynać stereotypowo od słów: »Dziś obchodzimy święto...« Taki wstęp jest wprawdzie bardzo prosty i łatwy, ale staje się wnet oklepanym i banalnym. Jeżeli tekst (motto) kazania dobrano starannie, to parafraza tego tekstu będzie bardzo często doskonałem źródłem wstępu. Wkońcu w kazaniu, które jest ogniwem w szeregu nauk, musimy prawie zawsze wskazać na łączność między niem a poprzedzającem lub poprzedzającemi. Zbytecznem będzie chyba dodać że nie powinno się nigdy trzymać niewolniczo je-

dnego typu wstępów, ani też z drugiej strony gonić za zbyt »oryginalnymi« i dziwacznymi.

Budowa wstępu jest zwykle w kazaniu taka, że na czele nauki stawiamy t. zw. tekst lub motto kazania, potem przechodzimy krótko i prosto na założenie (temat, propozycya, główna myśl) kazania.

Nie zawsze panował ogólny zwyczaj dawania na początku kazania t. zw. tekstu (motto). Nie mają naczelnego tekstu homilie Ojców Kościoła, nie mają go w znacznej części kazania mowców średniowiecznych, a jeszcze w XVII-ym wieku nie ma go n. p. w wielu kazaniach słynny misyonarz włoski O. Paweł Segneri. Dziś jest zwyczajem dość ogólnym rozpoczynać kazanie od odpowiedniego tekstu i od tego zwyczaju niema powodu odstępować. Przez to otrzymuje kazanie (jeżeli naprawdę się na niem opiera), niejako podkład biblijny i pewnego rodzaju namaszczenie religijne. Nie jest to jednak niezłomna reguła »według dekretu Medów i Persów, którego się przestąpić nie godzi« (Dan. VI. 12): gdyby z jakiejkolwiek przyczyny nie udało się mowcy znaleść odpowiedniego tekstu, może się śmiało bez niego obejść.

Tekst (czyli motto) powinien treściwie i ogólnie poinformować słuchacza z góry o treści i celu kazania, powinien zawierać główną jego myśl, a przynajmniej naprowadzać na nią. Niema on być luźnym przyczepkiem ani zwyczajną ozdobą kazania, lecz musi zostawać z niem (podobnie jak cały wstęp) w organicznym związku. Jeżeli tekst ma być tem, czem być powinien, nie może być znaleziony dorywczo i przypadkowo: musi być zwykle wypływem dłuższej pracy i myśli nad przed-

miotem i celem kazania. Jeżeli tekst jest dobrze dobrany, to służy często jako podstawa całego wstępu: dobra parafraza takiego tekstu doprowadza wprost do tematu, czyli głównej myśli całego kazania.

Po tem, cośmy mówili o wstępie w ogólności, będzie chyba zbytecznem dodawać, że nie musimy brać koniecznie za motto kazania cytatu »z odczytanej dopiero co ewangelii«. Całe Pismo święte ze swym nieprzebranym skarbcem pięknych, trafnych, głębokich myśli jest na nasze usługi: z niego możemy zwykle łatwo znaleść tekst, który nada się nam ze wszech miar do naszego kazania. Oczywiście powinniśmy cytować słowa Pisma świętego dokładnie, dosłownie, bez zmiany. Unikać należy tekstów zbyt krótkich, które nie wyrażają całkowitej myśli lub zbyt długich. Nie nadają się wreszcie na »motto« kazania cytaty zbyt trudne, które wymagają długiego i żmudnego wyjaśniania. Dawniej cytowano zwykle po łacinie, oczywiście z przekładem na język ludowy. Ten zwyczaj zachowują do dziś dnia niektórzy mowcy, ale nie wiem doprawdy, *cui bono?* Cytatu łacińskiego lud nie rozumie, więc niema celu go używać. Jeżeli chcemy, by słuchano słów tekstu jako słów Pisma świętego z większą czcią, toć przecież te słowa są tak samo czcigodne i święte i w naszym języku. Zdaje mi się, że ten zwyczaj to chyba przeżytek z epoki makaronicznej naszej wymowy kościelnej, zabytek, który może być śmiało pogrzebany wraz z innymi ówczesnymi zwyczajami.

Obok tekstów, wyjętych z Pisma świętego można wziąść czasem za motto słowa liturgii, modlitw, a nawet pieśni, znanych ludowi. Zwła-

szcza te ostatnie budzą zainteresowanie i trafiają łatwo do serca słuchacza. Tak n. p. słowa ludowej pieśni religijnej: »Wesoły nam dziś dzień nastał«, które oddają tak doskonale radosny nastrój wielkanocny, mogą służyć za motto do kazania na dzień Wielkanocy.

Zakończeniem, celem, koroną całego wstępu powinna być myśl główna całego kazania, czyli t e m a t (założenie, *propositio*). Przygotowawszy odpowiednio słuchacza i usposobiwszy go należycie, zapowiada wreszcie kaznodzieja, o czem będzie mówić i do jakiego celu zdąża. Temat powinien być dokładnie obmyślany nawet co do formy zewnętrznej. Musi podawać w jednem (a najwyżej w kilku) zdaniu niejako kwintesencyę całego kazania: słuchacz musi się z niego dowiedzieć nietylko o czem kaznodzieja chce mówić, ale też do jakiego konkretnego celu zdąża. Tak n. p. nietrafny byłby temat kazania w tej formie »o miłości bliźniego«: należałoby go n. p. sformułować »dlaczego miłość bliźniego jest piękną i konieczną cnotą«, »jak się objawia miłość bliźniego« itd. — stosownie do konkretnego celu kazania. Temat musi być podany w słowach b a r d z o z r o z u m i a ł y c h, by słuchacz nie mógł nie rozumieć, o czem będzie kaznodzieja prawił. Musi być też wygłoszony bardzo wyraźnie i dobitnie, ale nie patetycznie. Może mieć formę zdania twierdzącego, lub pytania, na które ma być odpowiedzią całe kazanie.

Jeżeli kazanie składa się z kilku części, to bezpośrednio po wygłoszeniu tematu zapowiada się zwykle, ile części będzie w kazaniu i jakie. Jest to szczególniej na miejscu w kazaniach dy-

daskalicznych i wobec audytoryum mniej wykształconego, które nie potrafi samo wyszukać sobie składowych części kazania. Należy jednak baczyć, by nie zapowiadać tych podziałów zawsze w ten sam stereotypowy sposób, a czasem (jeżeli podział kazania jest n. p. sam przez się bardzo jasny i wyraźny) można zupełnie odstąpić od tego zwyczaju.

Po wygłoszeniu tematu, ewentualnie podziału kazania powinien mowca zrobić małą p a u z ę, by słuchacze zauważyli, że teraz rozpoczyna się inna część kazania, a potem przystąpić bezpośrednio do właściwej treści swej mowy.

Od dawna zakorzenił się zwyczaj u niektórych kaznodzieji, że wplatają między wstęp, a właściwe kazanie m o d l i t w ę, rodzaj inwokacyi do Boga lub Świętych, a w naszych stronach szczególniejszy zwyczaj ubierania tej inwokacyi zawsze w formę Pozdrowienia Anielskiego. »Stanie się to za przyczyną N. P. Maryi, którą pozdrawiamy słowy Archanioła, mówiąc nabożnie »Zdrowaś Marya«, słyszymy prawie w każdem kazaniu. Ten zwyczaj znalazł nawet w teoryi wymowy swych rzeczników. Tak n. p. Krukowski (l. c. §. 62) nietylko nazywa ten zwyczaj »odwiecznym, upowszechnionym u kaznodziejów katolickich«, ale (na podstawie Justyna Miechowity), przytacza aż 5 argumentów na jego korzyść. Krynicki (l. c.) przyznaje wprawdzie, że ten zwyczaj nie jest koniecznym, ale zwie go bardzo chwalebnym.

Nie wahamy się tego zwyczaju nazwać nietylko niekoniecznym i niechwalebnym, ale uważamy go wprost za bardzo nieodpowiedny i niepotrzebny. Przedewszystkiem modlitwa wogóle nie powinna w zwykłych warunkach mieć miejsca

w środku kazania, ani między wstępem a samem kazaniem. Posłuchajmy, co o tem mówi Jungmann (Theorie der geistlichen Beredsamkeit — ed. IV. n. 372). »Również nienaturalnem wydaje się nam, przynajmniej w zwykłych warunkach, odmawianie przy końcu wstępu modlitwy (którą rozpoczynają niektórzy stale od słów: »Ty zaś itd.«), w której kapłan zwraca się wprost do Boga lub do Świętego z prośbą, by jego słowa pobłogosławił i uczynił skutecznymi. Figura apostrofy, w której występuje ta modlitwa jest zbyt patetyczna i wymaga zbyt silnego uczucia, by mogła mieć zastosowanie w chwili, gdy kaznodzieja ledwie rozpoczął mówić. Wątpię też bardzo, czy którykolwiek z Was modlił się bodaj raz szczerze podczas tej apostrofy. Na proste i szczere natury działa takie nienaturalne napięcie uczucia zawsze oziębiająco i przykro, jak zimny wiatr jesienny. Módlcie się często i gorąco sami o błogosławieństwo Boże dla waszej pracy; módlcie się wiele, gdy przygotowujecie wasze kazanie; upominajcie często waszych parafian, by zapewniali sobie łaskę Bożą przez częstą modlitwę; odmawiajcie powoli, poważnie i nabożnie Modlitwę Pańską, którą mówicie zwykle przed kazaniem; ale pozostawcie »inwokacyę« poezyi i epickim poetom i nie dajcie się unieść złemu przykładowi, który dostał się do wymowy kościelnej, choćby ten przykład pochodził od niektórych, skądinnąd bardzo dobrych kaznodziei«.

Tym słowom Jungmanna musimy z całego serca przyklasnąć. Jeżeli modlitwa ma uprosić nam i słuchaczom potrzebne łaski, to miejsce dla niej będzie przed kazaniem, nie podczas kazania. Dlatego przecież w wielu kościołach jest zwyczaj

chwalebny rozpoczynać kazanie modlitwą lub pobożnym śpiewem. Jeżeli zaś modlitwa ma być wyrazem i wypływem uczuć, które powstają w słuchaczach i w kaznodzieji podczas kazania, to miejsce jej będzie na końcu peroracyi (zakończenia), ale nie na początku kazania, gdy uczucia słuchaczów są jeszcze zupełnie lub prawie zupełnie spokojne. Nawet przy końcu kazania nie powinniśmy zbyt hojnie szafować tak silną figurą [1]) jaką jest apostrofa (inwokacya) w modlitwie, a cóż dopiero prawie na początku mowy! Nienaturalnym jest ten zwyczaj choćby dlatego, że mowca, który przemawiał we wstępie do słuchaczów, zwraca się nagle do Boga lub Świętych, a po chwili powraca znów do spokojnej przemowy do słuchaczów. Czy słuchacze potrafią przejść od razu niejako z biernego słuchania cudzej mowy do modlitwy, a potem bezpośrednio powrócić do spokojnego słuchania, wątpię bardzo.

Jeszcze gorszy jest zwyczaj wplatania zawsze tej samej modlitwy (n. p. »Zdrowaś Maryo«). Ten zwyczaj zmusza kaznodzieję, by w banalny i stereotypowy sposób, utartymi i zużytymi formułkami »naciągał« każdy wstęp i każdy temat do również stereotypowego, nic nie mówiącego końca, by między temat kazania, a jego wypracowanie wprowadzał nowy, obcy (na razie) element, modlitwę. Jestem przekonany, że ani kaznodzieja, ani słuchacze nie modlą się w tej chwili serdecznie, a w takim razie »*ad quid perditio haec?*« Czasem

---

[1]) Jungmann uważa (l. c. nr. 343. 3.) formalną modlitwę nawet przy końcu kazania za «francuską modę« i nie zaleca kończyć kazań w ten sposób.

nasuwa się mimowolnie złośliwe podejrzenie, czy kaznodzieja nie »ułatwił« sobie w ten sposób pracy, potrzebnej do ułożenia porządnego wstępu, lub (co gorsza), czy nie stara się zyskać chwili czasu, na »przygotowanie się« do całego kazania!

Wkońcu nie będzie od rzeczy przypomnieć, że jak całe kazanie, tak może jeszcze bardziej wstęp [1]) musi być należycie obmyślany i przygotowany. Tylko wówczas podoła swemu zadaniu, by w sposób prosty, a jednak nie nudny, krótko, a jednak wyczerpująco przygotować słuchacza do właściwego kazania. Nie godzi się zatem uważać wstępu kazania za coś podrzędnego i bez wartości, ale owszem za wzorem prawdziwie wielkich mowców i kaznodzieji należy nie pożałować czasu i trudu, by stworzyć prawdziwie piękny, a praktyczny przedsionek do pięknego i praktycznego budynku.

---

[1]) W najwyższym stopniu odnosi się to prawidło do zakończenia kazania.

VIII.

WYGŁOSZENIE KAZANIA.

»Ludzie zwracają zwykle uwagę tylko na piękną fasadę budynku, a nie troszczą się o to, co się za nią znajduje«, zauważył ktoś trafnie. To co podpada pod zmysły, co przemawia bezpośrednio do oka lub ucha ludzkiego robi silniejsze wrażenie, niż rzecz wielkiej wartości, ale w proste lub brzydkie przystrojona szaty. Gdy ludzie omawiają kazanie, przemowę, odczyt, którego wysłuchali, nie dbają nieraz o to, co mowca wygłosił, ale jak wygłosił. To też gdy Demostenesa pytano, co decyduje o wrażeniu, jakie wywiera mowa, miał odpowiedzieć: »w pierwszym rzędzie wygłoszenie, w drugim wygłoszenie i w ostatnim wygłoszenie«. Tak samo uznaje i ubolewa Arystoteles, że najpewniej może liczyć na skutek ten mowca, który potrafi swój elaborat dobrze wygłosić. Zapewne, że jest to fakt niewesoły; świadczy on o bardzo powierzchownym sądzie i o braku zmysłu krytycznego u ogółu, ale fakt, z którym każdy mowca, a więc i kaznodzieja musi się liczyć, jeżeli nie chce, by jego nawet najstaranniej opra-

cowane i najlepsze kazania pozostały bez należytego skutku. Jeżeli komu wydaje się sztuka dobrego wygłoszenia zbyt podrzędną, by o niej poważnie mówić, to odpowiem mu z Kwintylianem, że może jest ona podrzędną, ale bez niej żadna inna nie zapewni mowcy powodzenia, a przemowie pomyślnych rezultatów [1]). Rozumie się samo przez się, że kaznodzieja, któremu idzie nie o chwilowy efekt i poklask, ale o prawdziwe dobro słuchaczów, nie może starać się wyłącznie o piękną formę i wygłoszenie kazania, a zaniedbywać treści. Musi on przedewszystkiem dbać o to, by dać słuchaczom zdrowy, posilny pokarm dla ducha, którego nie może zastąpić nawet najświetniejsze wygłoszenie; ale musi też pamiętać o tem, że najlepszem kazaniem nie zdziała nic, lub nie wiele, jeżeli go nie wygłosi w odpowiedni sposób.

Nie mamy zamiaru podawać całej teoryi wygłoszenia i gestykulacyi: ograniczymy się do kilku praktycznych wskazówek.

1. Należy mówić wyraźnie i zrozumiale. Cicero powiada słusznie, że lepiej jest być niemym, niż mówić tak, że nas nikt nie może zrozumieć [2]). Choćby mowca głosił najpiękniejsze rzeczy, jeżeli słuchacz nie może ich uchwycić, pójdą najgórniejsze słowa na marne, a pierwszym warunkiem jakiegokolwiek skutku mowy jest, by ją mógł słuchacz łatwo i całkowicie zrozumieć. Dlatego należy mówić na ambonie tak głośno, by

---

[1]) »*Virtus autem fortasse sit parva: sine qua tamen esse nulla alia in agendo potest*«. (Quint. Inst. Orat. l. XI. c. 3.).

[2]) »*Nonne satius est, mutum esse, quam quod nemo intelligat, dicere?*« (Or. Phil. III. c. 9.).

słowa mowcy dochodziły do uszu nawet najbardziej oddalonych słuchaczów. Dlatego należy się przed kazaniem zapoznać z arkanami akustyki kościoła, w którym się ma przemawiać. W niejednym kościele mówi się stosunkowo łatwo i jest się łatwo rozumianym, gdy się n. p. zwraca do pewnej ściany lub filaru; jeżeli się w tym samym kościele mówi n. p. zwracając się do presbyteryum, głos się jakoś gubi lub łamie i trzeba go nadzwyczaj natężać, by wierni bodaj cośkolwiek mogli usłyszeć. Nie należy z drugiej strony mówić zbyt głośno, a tem bardziej krzyczeć. Krzyk jest bardzo natężający dla mowcy, przykry dla słuchacza, a gdy mowca krzyczy, to zwyczajnie poszczególne słowa wychodzą z jego ust jakoś niewyraźnie i słuchacz z trudnością uchwyci ich znaczenie.

Co do tempa, w jakiem się przemawia, powinno się unikać zbyt szybkiego jak i zbyt powolnego mówienia. Zbyt powolne wygłaszanie, »cedzenie« lub »wybijanie« słów, a co gorsza zgłosek, jest nienaturalne i robi całą przemowę nudną i bez życia. Jeszcze gorzej, gdy kaznodzieja mówi zbyt prędko. Wobec małego audytoryum, w pokoju w prywatnej rozmowie możemy mówić dość prędko, a (o ile mówimy wyraźnie) będziemy zrozumiani. Ale na ambonie mówimy w kościele: wskutek wielkich rozmiarów budynku głos rozprasza się, odbija się (i to bardzo nierówno) od ścian i filarów, więc słuchacze nie łatwo pochwycą słowa, głoszone zbyt prędko. Oczywiście sam kaznodzieja nie łatwo się skontroluje, czy nie mówi zbyt powoli, lub zbyt szybko, zbyt cicho, lub zbyt głośno: musi zatem poprosić kogoś z audytoryum, by go pod tym względem pouczył. Szczególniej począt-

kujący kaznodzieje powinni baczyć na to, by od pierwszych swych kazań nauczyć się zachować odpowiednie tempo w głoszeniu kazań: kto bowiem przyzwyczai się do zbyt szybkiego lub zbyt wolnego mówienia, temu potem bardzo trudno się od tego odzwyczaić.

2. Należy mówić poprawnie. Nie tylko nie należy używać błędnych konstrukcyi lub prowincyonalizmów i barbaryzmów, ale i w wygłoszeniu powinno się unikać niedbałej lub prowincyonalizmem trącącej wymowy. Szczególniej ostatnie słowa w zdaniu i ostatnie zgłoski dłuższych wyrazów należy wymawiać wyraźnie a nie »połykać« ich. Oczywiście należyty akcent poszczególnych zgłosek w słowach, a słów w zdaniach powinien być starannie zachowany.

3. Mówić ze zrozumieniem, to znaczy nie recytować zdania za zdaniem i słowa za słowem, jak uczeń powtarza wyuczoną lekcyę, lecz podkreślać odpowiedniem wygłoszeniem te słowa, lub te zdania, które mają szczególniejsze znaczenie w kazaniu. W ten sposób uniknie się monotonii i izotonii, które są nie tylko przykre dla ucha i nużą słuchacza, ale też utrudniają zrozumienie prawdy. Mówić (tak samo i czytać) ze zrozumieniem tak, by słuchacz i z przyjemnością słuchał i łatwo rozumiał, jest prawdziwą sztuką. Dojść można do niej nie inaczej, jak przez staranne ćwiczenie. Czytać głośno, wygłaszać z pamięci cudze utwory jest nie tylko dobrem przygotowaniem dla początkującego kaznodziei, ale może się przydać i starszemu. Czy jest odpowiedniem uczyć się wymowy u specyalistów n. p. recytatorów lub artystów dramatycznych, jest rzeczą względną. Ojcowie Kościoła

byli prawie wszyscy uczniami retorów, a i z dzisiejszych sławnych mowców pobierał niejeden lekcye wymowy. Należałoby jednak uczyć się u nauczyciela bardzo inteligentnego, któryby rozumiał, że między wymową świecką, zwłaszcza recytacyą aktorską, a wymową kościelną zachodzi znaczna różnica. W przeciwnym razie możnaby się nauczyć teatralnej deklamacyi, a taki sposób głoszenia słowa Bożego byłby wprost fatalny.

4. Najważniejszą może regułą dobrego wygłoszenia kazania jest: mówić naturalnie. Wspominaliśmy już o tem powyżej (II.), że kaznodzieje wpadają bardzo często w wygłaszaniu kazań w ton fałszywy, afektowany, nienaturalny, t. zw. »ton kaznodziejski«. Zdaje się, jakoby pod tym względem kaznodzieja musiał na ambonie mówić w zgoła inny sposób, niż zwyczajnie. Wspomnieliśmy o tem, że ten ton pseudo-patetyczny jest niepotrzebny, owszem szkodliwy. Nudzi on i nuży słuchacza, a gdy jest zbyt rażący, śmieszy i odbiera powagę kaznodziei. Czy kaznodzieja opowiada, czy dowodzi, czy porusza, czy prosi, czy grozi, czy upomina, niech mówi zawsze tak, jak mu naturalny zdrowy instynkt nakazuje, a wygłosi swe kazanie w odpowiedni sposób. Kto n. p. nie umie mówić patetycznie, niech się do tego nie zmusza: stokroć lepsze wrażenie zrobi jego kazanie wygłoszone spokojnie i po prostu, niż sztucznie a patetycznie. Ten sam patos, który w ustach innego mowcy będzie naturalnym i sprawi najlepsze wrażenie, będzie u niego sztucznym i śmiesznym.

Najlepiej wypadnie wygłoszenie kazania, gdy mowca uchwyci szczęśliwie t. zw. ton konwersacyjny, gdy jego mowa nie będzie monologiem,

wydeklamowanym przez aktora, ale rodzajem rozmowy ze słuchaczami, ba nawet z każdym słuchaczem z osobna. Ten ton jest prosty, naturalny, serdeczny, miły dla ucha i dla serca słuchacza. Ma się rozumieć, że będzie to ton konwersacyi o sprawach ważnych, wielkich a doniosłych a nie lekki, baraszkujący ton codziennej, banalnej salonowej rozmowy.

5. Gdy mówimy o sprawie, która nam leży na sercu, gdy staramy się słuchacza przekonać lub poruszyć, popieramy zwykle nasze słowa odpowiednimi ruchami rąk, gestami. Nauczyciele retoryki poświęcają też zwykle bodaj parę słów pytaniom, czy kaznodzieja może i powinien gestykulować, jakie powinny być gesta, jakich należy unikać i t. d. Sądzimy, że pod tym względem nie powinna teorya dawać zbyt szczegółowych i drobiazgowych przepisów. Takie przepisy krępowałyby niepotrzebnie swobodę kaznodziei, odwracałyby jego uwagę od rzeczy ważniejszych, a co gorsza mogłyby go nauczyć jakiejś teatralnej, sztucznej gestykulacyi' co byłoby dla niego bardzo szkodliwem. Jedyną regułą pozytywną, jaką możemy dać pod tym względem kaznodziei jest: gesta muszą być naturalne. Gesta muszą być naturalnym akompaniamentem mowy: muszą powstawać samorzutnie, być niejako wyrazem uczuć mowcy, odpowiadać jego potrzebie. Prawda, że naturalne gesta są nieraz trochę za gwałtowne, za sztywne, a więc nie bardzo dobre, ale gesta wystudyowane, nienaturalne będą zawsze złe. Stąd nie wszyscy mogą i powinni gestykulować jednakowo: zależy to od usposobienia, szczególniej od temperamentu mowcy. Ludy południa i wschodu używają bardzo wielu

i to gwałtownych gestów w potocznej mowie: Włoch nie potrafi wypowiedzieć zdania bez gestykulacyi — co prawda zwyczajnie bardzo pięknej i szlachetnej. Dlatego też nie razi to zupełnie, że kaznodzieje w tych krajach gestykulują bardzo wiele; gwałtownie; ktoby chciał u nas mówić w ten sposób na ambonie, wzbudziłby niechybnie śmiech między słuchaczami. Ale i między naszymi kaznodziejami nie każdy ma jednaką potrzebę gestów. Kto nie czuje tej potrzeby niech nie używa zupełnie gestów. Zapewne, że przemowa zupełnie bez ruchu będzie wyglądać trochę sztywnie; ale lepsze to, niżby mowca miał »dodawać jej życia« sztucznymi środkami, wystudyowanymi gestami. Komu potrzeba tej pomocy gestów, by mógł swobodnię i naturalnie mówić, niech ich używa.

O ile nie możemy dać pozytywnych wskazówek, jak należy gestykulować, o tyle musimy dać kilka wskazówek n e g a t y w n y c h, musimy przestrzedz przed nadużywaniem, fałszywem używaniem tego środka retorycznego. Przedewszystkiem nie gestykulować za wiele, a tem bardziej nie gestykulować bezustannie. Wprawdzie, jak to wspomnieliśmy, Włoch lub inny południowiec gestykuluje prawie bezustannie, ale u nas zbytek gestów, lub gesta podczas zupełnie spokojnej i obojętnej przemowy robią wrażenie nienaturalne i śmieszne. Zwłaszcza wobec audytoryum wykształconego należy miarkować zbytni popęd do gestów. Gesta zbyt gwałtowne lub nerwowe nadają mowie charakter niespokojny, namiętny; wskazują, że mowca nie panuje nad sobą: należy ich zatem unikać w kazaniu. Jest wreszcie cały szereg gestów sztywnych, teatralnych, komicznych, nieestetycznych,

które łatwiej wskazać na przykładzie, niż opisać: rozumie się samo przez się, że nie nadają się do żadnej mowy, a tem bardziej do kazania. Złe wrażenie robią wreszcie gesta zbyt monotonne, te same w chwilach najspokojniejszych, jak i najbardziej podniosłych.

Wobec tego, że kaznodzieja nie widzi siebie mówiącego i gestykulującego i nie może się skontrolować, byłoby rzeczą bardzo dobrą, by i pod tym względem ktoś rozumny a życzliwy zwrócił wcześnie uwagę początkującemu kaznodziei i uchronił go od fałszywej maniery, z której później bardzo trudno się poprawić.

6. Wkońcu nie powinien kaznodzieja zapominać o tem, że nietylko ruch rąk (gestykulacya), ale cała p o s t a w a i wyraz twarzy powinny niejako przemawiać do ludu i wspierać jego słowa. Postawa kaznodziei ma być pewna i spokojna, nie sztywna i nie zbyt pochylona, nie zbyt lękliwa, ani też pyszna ni pretensyonalna. Twarz powinna tchnąć powagą, spokojem, życzliwością dla słuchaczów i przejęciem się słowem Bożem. Ale to wszystko nie może być wystudyowanem, bo będzie sztucznem i teatralnem, lecz musi być, podobnie jak całe kazanie, proste, szczere, naturalne.

SPIS RZECZY.

		Str.
	Wstęp	1
I.	Jeden z najzgubniejszych błędów w głoszeniu Słowa Bożego	3
II.	Bądź naturalnym!	25
III.	Mów krótko!	33
IV.	Nowość w kazaniu	42
V.	Dowody w kazaniu	49
VI.	Podobieństwo i przykład w wymowie kościelnej	68
VII.	O wstępie do kazania	80
VIII.	Wygłoszenie kazania	94